

Miesięcznik Książki

44
Wydawnictwo M. Arcta
Warszawa, nowy świat 35
p. k. o. 180-70.

Rok III. MARZEC 1929. Nr. 3.

RUPERT HUGHES

HOLLYWOOD



Jak mieszkają gwiazdy w Hollywood. Z książki T. Miciukiewicza „Świat dziwów kinematografu“ (w przygotowaniu).

stanawia pod pretekstem choroby wyjechać z rodzinnego miasteczka, aby oszczędzić rodzicom wstydu i zmartwienia — wie bowiem, że będzie matką. Idąc za radą doktora, postanawia napisać z podróży rodzicom, że wyszła za mąż za jakiegoś fikcyjnego pana Woodville'a, którego następnie zamierza w jakiś fantazyjny sposób się pozbyć. Rodzice zgadzają się na wyjazd córki, zaniepokojeni jej chorobą.

Córka cnotliwego pastora w małym miasteczku amerykańskim Remember Steddon, cicha, pobożna i posłuszna córka, zmuszona jest porzucić szczęścia w dalekim świecie. Mem kochała młodego Farnabego Elwooda, który zginął w wypadku samochodowym bezpośrednio przed swoim ślubem z Mem. Wobec tego biedna dziewczyna, ulegając namowom starego przyjaciela dr. Brethericka, po-

Mem wzdragała się przed ogolacaniem rodziców ze środków do życia na stare lata. Niejednokrotnie błagała dra Brethericka o zwolnienie z obietnicy niewyjawiania prawdy i nietargnięcia się na swe życie; ulegała wszakże zawsze napięciu jego sily woli, rada, że może się oprzeć o coś stalszego od strachu, co ją dręczył. Doktor zaś podniecał ją nadzieją, że w tych krainach złotodajnych, ku którym zdąża, zdobyć może bogactwo, pozwalające jej zwrócić zapomogę rodzicielską z nawiązką, odplacić im ją zamożnością, kto zgadnie?

— Dawniej — prawil — córki wrywały się z domu na zatracenie. Ale teraz... Dziś dziewczętom życie nie jest straszne. Nawet w razie potknięcia się nie muszą zniżać się do biernego, skomliwego, pasorzytznego bytowania dawnych „prawdziwych matron“! Dziękuj Bogu, że teraz żyjesz i okaż, że umiesz się za to odwdziżyć. Istny wschód słońca; nad dziecięcymi głowami pogodny

blekit nieba! Czytałem świeżo, ile niewiast zdobyło z niczego bogactwa. Ta na cukierni, owa na banku, inne na sztukach wyzwolonych: malarstwie, pisarstwie, muzyce, aktorstwie... Kto wie, może się przytulisz do ja-

kiego kinematografu i zdobędziesz więcej pieniędzy, niż król węglowy? To aż obrzydliwe, ile te kozy czasem zarabiają! Powiadam ci, byleś zdobyła się na zuchwalstwo, możesz jeszcze zostać milionerką. Nawet twoje cierpienia mogą ci być nauką, a to przykre udawanie drogą do sławy. Idź na Zachód, dziewczyno, z ufnością, że się wybijesz!

— Ależ ja nigdzie dotąd nie bylam, niczego nie widziałam, nawet kina!

— Nie święci garnki lepią! Byleś się oddaliła od domu na tyle, by być pewną, że nie przyprowadzisz ojca o apopleksję, wkręć się do jakiego kina i wypatruj, czy tam nie potrzebują czegoś, czemu podolasz. Mnie się widzi, że ty tam zmastrujesz nie byle co. Zapewne przyjdzie ci wyuczyć się jazdy konnej, rzucania lassem, tańczenia. Na to, by wypadać z pociągu w pełnym biegu, lub koziołkować z samochodem, nie potrzeba wielkiego talentu, a śnać, że i nie jest to tak

TREŚĆ NUMERU III-GO:

Rupert Hughes: „Hollywood“, str. 1. — Naokoło teatru, str. 5. — Nasz plebiscyt, str. 5. — Czy wiecie, że..., str. 6. — O nowe metody wychowawcze, str. 6. — Polemiki, polemiki..., str. 6. — Matura się zbliża, str. 7. — Co nowego w kinie, str. 7. — Walka o Żeromskiego, str. 8. — Książki z całej Polski, str. 9. — Janusz Meissner: Ostatni lot, str. 10. — O roku ów, str. 11. — Rehabilitacja kobiety polskiej, str. 11. — Odpowiedzi od redakcji, str. 12.

strasznie niebezpieczne, skoro widzimy tę samą aktorkę, skręcającą kark w jednym obrazie, a uśmiechającą się mile w następnym. Świeżo pokazywano tu takiego „lasciemca“, w którym nawet kule nie czepiają się bohaterki: można do niej strzelać, topić ją, spalić mrozić, otruć, udusić, a ona zawsze uskoczy, wypłynie, pokona stu bandytów i jeno się uśmiecha coraz czarowniej. Na twojem miejscu puściłbym się na te figle.

— A czy jest kino w Tuckson?

— Gdzie go niema? Jest chyba na obu biegunach, i północnym i południowym.

Recepty doktora działały na Mem tak krzepiąco, że wychodziła od niego uspokojona, z uczuciem, że jej tragedia nie była ani nader wyjątkowa, ani nader straszna, i może zakończyć się pomyślnie. W domu natomiast ogarniała ją atmosfera ponuro uroczysta, że uśmiech wydalby się w niej zuchwałstwem, a żart bluźnierstwem. Nawet dobroć drażniła ją i rozgoryczała swą uroczystością, zamiast łagodzić i osładzać jej cierpienia. Aż pewnego dnia, nieoczekiwanie, nie mogła już znieść tego dłużej. Ojciec poszedł był w odwiedzinę do jakiegoś chorego, a matka spokojnie szyla jej podróżną wyprawę. Czy to był szlachetny bunt przeciw podsępną klamliwości? czy samolubna żądza zwaleni bodaj części nadmiernego ciężaru na cudze barki? czy szalona pokusa wciągnięcia kogoś innego do współklamstwa? czy drażniący warkot maszyny do szycia? Niewiadomo, co ją do tego skłoniło, dość, że odłożyła robotkę, poszła spokojnie do matki, zawarła za sobą drzwi, oderwała od maszyny rękę matki i rzekła potocznie:

— Mamu, chcę ci coś powiedzieć. Wolę cię martwić, niż oszukiwać.

— Cóż takiego, dziecińco? Siądź tu przy mnie i opowiedz wszystko mamusi. Moje stare serce wytrzyma wszystko. Mów, dziecko.

W odpowiedzi Mem zaszepotała tak cicho i łagodnie, że jej oddech ledwie rozlamywał się na głoski. Ucho matki chwyciło nietyle dźwięk jej słów, co raczej szmer i syk jej grozy; oko miarkowało dziką mowę jej wyłękłego spojrzenia:

— Mamusiu, ja będę miała... będę miała... swoje własne... niemowlę...

Sila wstrząsu podziałała znieczulająco. Tym samym tłumionym szepceniem matka odszeptowała glucho:

— Ty! Ty! Moje dziecko! Ty — dziecko?

Mem skinęła potakująco i, wciąż się ślaniając, znalazła się na kolanach z głową na matczynym podolku. Pomarszczone dłonie opadły drżąc na jej głowę, opłotły policzki. Mem poczuła kapanie kropel na włosy, — lez, co były, jak perły, spadające, jedna za drugą, z korony dumy. Drżące dłonie zaciśnęły się, podniosły twarz i Mem spojrzała w górę, zdumiona tak, jak jej matka, w której zapałaniu wdół nie było oburzenia ani wyrzutu, jeno serdeczne współczucie i niewysłowny strach. Wargi, jakby same, wykrzywiły się okrutnym pytaniem:

— Ale kto? kto?

— Elwood.

Ręce, podtrzymujące głowę, opadły bezwładnie. Suche oczy rozdziawione patrzyły ślepo, upiornie; umysł poza niemi zaskrzęplony w niemocy. Ale zwolna źrenice ożyły uczuciem ludzkim pod nakropem łez, ścigających lzy, i matka jęła z niewymowną litością:

— Biedna dziecińca... Biedna Mem... Biedne maleństwo...

W sercu babki rodzi się cudowna znajo-

mość życia. Babki widzą rzeczy nieujęte w słowa. Widzą okrutną złośliwość świata, znęcającą się nad istotami ukochanymi. Są rozumne straszliwą mądrością. Wiedzą wszystko o niekzemności odwetu i nie dbają o zarzuty karygodnej pobłażliwości. Mem swem wyznaniem zwiastowała matce narodziny wnuczki. Pani Steddon była tak oszłomiona, że nie czuła oburzenia na widok przepaści sromotnej. Gdy rozsądek jej zanieśniał, dwa przyrodzone popędy napierały się głosu: miłość męża i miłość dziecka. Postanowienie przyszło jej łatwo wbrew konieczności oklamywania: ona osłoni męża przed rozczarowaniem i oszczędzi mu męki pomśzczenia na dziecku swych obrażonych zasad; ona osłoni swe dziecko przed światem bezlitosnym i przed bezpośrednim zgorzeniem miasteczka. Mało mówiła; pieściła wiele. Potwierdziła zarządzenia doktora; przyłączyła się do znowy, by ocalić i córkę i ojca.

Im bardziej zbliżał się dzień wyjazdu córki, tem wolniej wlokły się godziny. Ale wreszcie Mem stała już na tylnym ganku pociągu, zmierzającego na południowy Zachód. Już słała zapłakana całusy w stronę rodziców, płamiących się w zwiększającej się oddali. Oni wpatrywali się w pociąg, znikający, jak zsuwana luneta, — jak tyłu przed nimi rodziców wypatrywało tylu okrętów, pociągów i wozów, znikających w przestrzeni, uwożąc istoty oderwane od serca.

Rodzice zawrócili do zwykłego życia z uczuciem, że zatrzasnęli drzwi za sobą; Mem, zawróciwszy do przedziału, miała uczucie,



WIOSNA SIĘ ZBLIŻA!

Zbliża się wiosna, a wraz z nią ten szczęśliwy okres, kiedy z ciasnych i dusznych murów miasta wyrwiemy się na zalane słońcem pola, lasy i łąki.

NA WYCIECZKACH I SPACERACH PAMIĘTAJ CIE O KSIĄŻKACH I ATLASACH PRZYRODNICZYCH!

że rozwarła się wiążąca ją krata: przed nią rozpościerała się równina bezkresna.

ROZDZIAŁ VII.

Pociąg wstrząsał dziewczyną w żwawy rytm kół, tętniąc podniętą pędu. W jej głowie przedzierzgał się w zawrodozenie starej piosenki, tylekroć śpiewanej na wycieczkach niedzielnych:

Statek się kryje za zatoki szańce,

Na statku płyną wędrowce, wygnańce:

Bywaj, mój miły, bywaj!

Mem układała sobie, że w podróży przeżyje dokładnie swą dolę. Po pierwszej wszakże ucieśze z wyzwolenia i oszłomieniu szybkością popadła w przygnębienie strachu, — strachu przed wszystkimi i wszystkim. Musiała i nadal udawać, jeno została teraz aktorką wędrowną, występującą przed publicznością, wciąż się zmieniającą. A to powiększało jej bojaźń. Jedynym stałym jej towarzyszem były wyrzuty, które sobie czyniła; a ta jej ucieczka była nową do nich podniętą: zawiodła zaufanie i uciekła! Zamierzone rozmyślenia i roztrząsania sumienia rozbiły się o nowości, wciąż narzucające się oczom, jak film, rozwijany bez przerwy.

Hałaśliwy chrzęst przy wjeździe do Kansas City zaturkotał w jej uszach i docna rozpedził ponurą gędbę myśli. Fabryki, składy, pociągi, strażnice, dzwonki ostrzegawcze przy skrzyżowaniach ulic, zwyczajny warczący zgłęk zdybanego wielkiego miasta, wszystko to opadło ją rojem. Zdawało się jej, że zwalnający pociąg przyspiesza biegu. Nadmiar nasuwających się przedmiotów ciekawych wywoływał złudę wzmożonego pędu; tak bywa i w życiu.

Mem była olśniona widokiem pierwszego wielkiego miasta. Dziwowała się, jak wysiadającym tu podróżnym nadszakiwała służba, skwapliwie i chędogo odkurzając ich płaszcze i kapelusze janowców szczecina, równocześnie przygarszczając napiwne, wszystko w niemal tanecznym rytmie. Jakaś zażywna jejmość, z glosem, przeskrzeczającym szczęk żelazni, dopytywała się o przeciąg postoju, a poysławszy „osiem minut“, okrzyknęła swe postanowienie wyprostowania odnóży. Luni poszli jej śladem, a i Mem chciała wóz opuścić, po drodze podpatrując podróżnych, by wyzbyć się nieporadności i nabyć wprawy podróżniczej. Gdy przystanąła, zatrzymana ścisłkiem, nagle rozwarły się drzwi salonowego przedziału i w ich obramieniu ukazał się rosły i przystojny młodzieniec z wyrazistą twarzą: przystanął, śliznął się po niej wzrokiem i, przepraszając, uchylił kapelusza, gdy się przeciskał obok. Następnie zapukał do innych drzwi, wołając głośno:

— Robino, wyjdź i ty poruszać się nieco!

Tymczasem na postaci młodzieńca skupiły się spojrzenia podróżnych, wyciągających szyje, wybaluszających ślepią i wymieniających porozumiewawcze trącania łokciami i szepty. Gdy Robina stanęła we drzwiach przedziału, powitalo ją gapienie się powszechnie i bezczelnie natrętne. A było na co: oślepiająco piękna niewiasta stała z gołą głową, okraszona ujmującym uśmiechem. Spozrzęła gburowałą ciekawość, uśmiech jej zagaś, cofnęła się, by wychylić się niebawem w kapeluszu i z twarzą ukrytą pod gestą woalką.

— Jak ja ci zazdroszczę prawa noszenia tak szeszelnej zasłony — zawołał młodzieniec.

Mem nie dosłyszała odpowiedzi, gdyż prąd podróżnych poniósł ją na pomost dworca

między cizbę kuferków i służebnych murzynów w czerwonych czapkach. Wywijając się, wydostała się na wolną przestrzeń, cała rozradowana nowem, nieznanem środowiskiem. Biegła tam i zpowrotem, jakgdyby stopy jej były uskrzydłone. Doznawała przemilego przestrachu na myśl, że pociąg ruszyć może bez niej. Czy umiałby go dopędzić i wskoczyć w bieg. Dopiero, gdy odpięty parowóz sam dokądś odpelznął, zdobyła się na śmiałość przechadzki wzdłuż całego pociągu, nastawiana wszędy męskiemu spojrzeniami, które ją wyploszyły zpowrotem. Zauważyła, że tłum wciąż okala przystojnego młodzieńca i zawołowaną niewiastę wśród ustawicznych szeptów, których treści nie mogła pochwycić. Czasem ktoś się odłączył, by kupić pomarańcz, czekolady, cygar lub gumy do żucia. Żałowała, że jej nie stać na takie zbytki, nie oparła się jednak pokusie nabywania czegoś do czytania (usprawiedliwiająca się w duchu, że to nie zbytek, jeno kształcenie) i wybrała dwa miesięczniki, poświęcone filmom. Gdy odliczała pieniądze, jeden z nich wymknął się jej z pod pachy i upadł. Nachyliła się, by go podnieść; ręka jej zderzyła się z inną, sięgającą, by ją wyręczyć; poderwała głowę, by zobaczyć, czyja to ręka; straciła czyjś kapelusz, omal nie zderzywszy się nos w nos z uprzejmym wyręczycielem; oboje się wyprostowali, każde z nich w przekonaniu, że drugie podniosło miesięcznik, leżący nadal na ziemi; oboje parsknęli śmiechem, przyczem spostrzegła, że uprzejmym wyręczycielem był ów przystojny młodzieniec.

Twarz jego znikła z przed jej oczu, gdy ponownie nachylił się, by pochwycić miesięcznik i kapelusz; gdy się znów wyprostował, twarz zajaśniała, jak wschodzące słońce, a z oczu trysnęły ku niej jasne promienie. Z tych oczu dobywał się smutek i świetlistość, którą, jak słońce, olśniewał niezliczone rzesze. Ale Mem nie wiedziała o tem. To spojrzenie działało na nią ciepło i kojąco, i zapłonęła nieco, jak róża, gdy słońce ją ozłoci. A równocześnie młodzieniec, z grzecznym ukłonem, ofiarował jej wytwornym ruchem własny kapelusz, a miesięcznik położył sobie na głowę. I znów oboje parsknęli śmiechem, a młodzieniec zarumieniał się ze wstydu, że jemu — właśnie jemu! — przydarzyć się mogła tak głupia omyłka.

W jego spojrzeniu i uśmiechu Mem znajdowała zadziwiający magnetyzm. Nie domyślała się, że on tym smętnym uśmiechem zarabiał miliony, że go sprzedawał na taśmie po tyle a tyle za stopę, — stóp takich tysiące i tysiące. Uśmiech jego był tak rozciągliwy, że nim cały glob opasywał, a w oczach czaiło się tyle smutku, że mógł obdzielać nim tysiące widzów.

Młodzieniec nie skorzystał ze sposobności, by nawiązać rozmowę, lecz oddał się z ukłonem, spiesząc ku zawołanej niewieście, a Mem pogrążając w cieniu, jakgdyby słońce zasunęło się za chmurę. Robina śnać nie nawykła, by ją zaniebdywano, i chwilową nieobecność młodzieńca odczuła, jak uchybienie, które znalazło oddźwięk w ironicznym tonie, w jakim go powitała:

— Ależ, Tomie; ze względu na mnie nie potrzebujesz się tak spieszyć!

(Więc Tom mu na imię? Tyle wspaniałości i wdzięku i tylko Tom pospolity!)

Głos Robiny nie brzmiał zbyt pięknie, lecz ona nie handlowała głosem. Mem była tak zmieszana, że wypuściła z ręki pieniądze, iż potoczyły się z dźwiękiem, lecz teraz młodzieniec nie pośpieszył jej z pomocą. Doświadczona bowiem Robina wiedziała, że takie przypadki bywają czasem umyślne, gwoli

zwróceniu uwagi, i wlok odprowadziła Toma, ujawszy go pod ramię. Zbierając na kłęczkach drobniąc, Mem zerknęła ukradkiem ku młodzieńcowi, na którego dwoje dziewcząt rzuciło się z bezwstydnem balwochwaltwem. Jedna z nich terkotała:

— Och, panie Holby! Poznałyśmy pana na pierwszy rzut oka! Ze wszystkich gwiazd pana najbardziej uwielbiamy! Istne nieszczęście, że, jak na złość, nie wzięliśmy dzisiaj z sobą sztambuchów z autografami! Może ma pan przy sobie fotografie?

— Niemądre gadanie! — przerwała druga. — Fotografie w kieszeni? Pan Holby nie jest dziwołagiem od Barnuma! Ale pan nie odmówi nam przysłania swych fotografii z podpisem? Zaraz napiszę nasz adres.

Pan Tom był wyszukanie ugrzeczny (w jego zawodzie nie należy zrażać sobie wielbicieli) i już zaczął zapisywać adresy, gdy rozległo się doniosłe: „Odjazd!” — pan Tom zniknął, jedna z dziewcząt zakłęła, druga poczęła rozpaczliwie jęczeć, dowiedziawszy się, że zawołowaną damą była słynna Robina Teele. Podobnie Grecy popadali naprzemian w strach i uwielbienie na widok bogów zstępujących z Olimpu.

Mem nie znała tych bogów, ani czei dla nich. Wstrząsana dwiema obawami: nie odnalezienia wszystkiej drobniocy i pozostania na nieznanym dworcu, wskoczyła do ruszającego pociągu tak zadyszana, że pociąg już wyjechał z pośród murów miejskich, gdy uspokoiła się na tyle, by rzucić okiem na swe miesięczniki. Na okładce jednego z nich widniała olbrzymia głowa Robiny Teele; cała

w oczach i kędziarach, okalających nieprawdopodobnie słodzielne usteczka. Mem nigdy wpród nie widziała jej podobizny, nawet na afiszach, gdyż filmy z tą gwiazdą były za drogie dla przedsiębiorców z małej miejsciny. W środku miesięcznika znalazła o niej długi artykuł i drugi o Tomie Holbym. Uważała to za zadziwiający zbieg okoliczności, albowiem nie wiedziała, że takie gwiazdy mają przybocznych agentów prasowych, czuwających, by nie ukazał się nigdzie przegląd filmowy bez piania ich chwaly.

Mem wpatrywała się długo w rozmaite podobizny Toma, w przeróżnych przebrańiach dokonywającego czynów, świadczących o jego sile i zwinności. Potem odczytywała istne rapsody o sławnym młodzieńcu i czuła się upokorzona swem nieuctwem. Jeno chwala opiewana była tak górnolotnie, ludzie gapili się na niego tłumnie, jak na raroga, dziewczęta błagały go o fotografie, a ona nie wiedziała zgola, że tak sławny mąż istnieje na świecie! Wpatrywała się w miesięcznik, a serce tlukło się jej niespokojnie na wspomnienie o ich spotkaniu. To było coś takiego, jakgdyby była straciła kapelusz królowi Dawidowi, gdy pochylił się laskawie, by podnieść jej harle!

ROZDZIAŁ VIII.

Pocziwy pastor byłby pewno z poczuciem lęku i zgrozy zwrócił błagalne spojrzenie ku niebu, gdyby był widział, z jak grzesznem zaciekawieniem jego córka zagłębiała się w pisma, poświęcone bezbożnym filmom. Jedno z nich opowiadało o życiu gwiazd i ich rodzin, ich poglądach i upodobaniach. Niektóre z nich Mem znała z afiszów, lecz tutaj przedstawiano je w życiu cywilnem. Zuchwały cowboy siedział sobie spokojnie na progu wspaniałej willi, piastując niemowlę; inni bohaterowie palili lulki, czytając książki lub głaskając psy; niewiasty wszelkiego typu panoszyły się w zamożnych środowiskach, krzątając się zajęciami domowemi.

Aż dziwna, ile pośród nich, i to co dorodniejszych, nianczyło dzieciaki. Na ich widok Mem nie mogła się oprzeć tkliwemu gruchaniu; w sercu poczuła jakąś słodką udrekę. Po raz pierwszy odczuwała miłosny pociąg do tego tajemniczego przyszłego obywatela, którego zapowiedź przejmowała ją dotąd jedynie wstydem i strachem. Po raz pierwszy dusza jej zatęskniła do tego zagadkowego stworzonka tak żywo, że to uczucie przytłumiło wszystkie inne. Dotąd wzdychała do śmierci; teraz pragnęła żyć, by poznać rozwiązanie tej tajemniczej powieści w dziewięciu rozdziałach. Po raz pierwszy poczuła dumę z swej twórczej mocy.

I znów zatopila się w miesięcznikach, czytając wszystko, nawet ogłoszenia. Przerwał jej dopiero biało zapaszczony służący, wyerzykując wzdłuż kurytarza:

— Pierwsza serja śniadań w wozie-jadalni!

Wyprawa do jadalni zgotowała jej nowe wzruszenia. Ceny były zastrasające, ale potrawy pouczające. Wybierała najtańsze, rozkoszując się ich nowością. Nigdy dotąd nie jadła z szybkością stu kilometrów na godzinę. Bawilo ją, że podnoszenie do ust widelca rozciągało się na przestrzeni kilkunastu metrów. Była już w innym powieciu, nim ukończyła pierwszy łyk herbaty. Między ustami a brzegiem kielicha przesuwano się cały szmat kraju. W domu jedyną zmianą wśród obiadu bywały chyba zmiany pory roku; tutaj świat się jeno migał między kaskami.



KUNIGAS

NAPISAŁ J. I. KRASZEWSKI.

Z ilustracjami M. E. Andriolli'ego.

Cena brosz. 12 zł., w opr. 16 zł., opr. w morę 18 zł.

Wspaniała ta powieść Kraszewskiego, ozdobiona pięknymi ilustracjami Andriolli'ego, przenosi Czytelnika na Litwę XIV-ego wieku, w wir walk litewsko-krzyżackich. Jest to jedna z najlepszych powieści historycznych Kraszewskiego.

Powróciwszy do swego przedziału, Mem zabrała się do drugiego miesięcznika o podobnej treści, lecz o wytworniejszym wyglądzie, ze względu na ilustracje barwne.

Przeglądając niezliczone odpowiedzi redakcji, zauważyła jedną, opiewającą:

Pani L. Tak, droga pani, fotografię posłę ci chętnie po otrzymaniu ćwierć dolara. Żałujemy, że musimy zmartwić panią wiadomością, że jest już żonaty. Tom Holby — jeszcze nie, o ile wiemy. Ile zarabia, jest to jego tajemnicą, znaną tylko inspektorowi podatkowemu. Słyszeliśmy wszakże, że świeżo odrzucił propozycję tysiąca dolarów tygodniowo, nie chcąc rozstać się z firmą, której zawdzięcza swój rozgłos.

Z westchnieniem Mem odrzuciła miesięcznik. Więc ten młodzieniec wzgardził tysiącem dolarów tygodniowo, kiedy ani połowy tej sumy nie zarabiał rocznie jej ojciec, ratujący dusze od ogni piekielnych, ku którym ten młodzieniec zaganiał ludzi całymi trzodami, nim sam tam za nimi podąży! Nie miała ochoty biec do pana Toma, by go ostrzec przed dołą, która nań czyha; nienawidziła go tylko za to, że tak drogo sprzedawał duszę diabłu, jak mienawidziła kociołkiej Robiny i całej tej hordy, przesiąklej zepsuciem.

Ocknęła się z rozmyślań na dźwięk głosu, dochodzącego z za pleców, głosu niemilo miłego. Jeśli bywają głosy aksamitne, ten był chyba pluszowy. Niemogła oprzeć się odrzynie, nim jeszcze odwróciła głowę i omal nie otarła nosem o twarz, zwisającą z za poręczy siedziska. Widziana z tak bliska, twarz przypominała ludzającą lalkę, z wybałuszonymi, szklistymi oczyma, noskiem zadartym, wydatnymi wargami, pokrytymi grubą powłoką czerwieni, z złotymi włosami, skędzierzawionymi w wypiętrzoną kupę włosówienia. Głos pluszowy zamiauczał:

— Co ja niby chciałam rzec, krótko mówiąc, to niby, że gdyby pani już czytała się tego magazynu, to jabym niby pożyczyla go sobie, jako że, krótko mówiąc, jeszcze go niby nie widziela.

Mem nie wiedziela, co odrzec na tę przemowę, więc milcząco podała miesięcznik przez ramię. Ponad nią zwisała nadal głowa lalki, klęczącej poza poręczą i przeglądającej stronicę pisma szybko, po lebkach, z wyrazem kotki, oblizującej łapkę. Słizgając się oczyma po druku i obrazkach, równocześnie plotła bez przerwy:

— Pani pewno, ani chybi, rychtyg też do Holjud...?

— Dokąd?

— To się wie, do Holjud, a gdzieżby? Juściż niby do Holjud.

— A gdzież to jest?

— Gdzie jest? A gdzieżby? Juściż w Holjud. Każdy to wie i każdy tam jedzie; kolo Sentandzuls. Niby Holjud, a może pani wymawia Holluud, bo, krótko mówiąc, każdy to niby inaczej wymawia, ale każdy trafi.

— Przepraszam, nie zrozumiałam w pierwszej chwili; nie, ja jadę do Tuckson.

— To niby pani nie względem ekranu? Widzicie wy. Takie dziwy. Toć każdy się tam pcha na leb, na szyję, niby, krótko mówiąc, względem pieniędzy, choć tam z nimi nie tak, jak bywało. Wie pani, kto z nami jedzie?

Lalka zerwała się z kolan, przybiegła, by usadowić się naprzeciw Mem, i terkotała dalej:

— Pani pozwoli, że se tu usiądę. Pani sama? A może mąż pani niby w palarni, bo te mężczyzny, krótko mówiąc, takie paskudniki. Jeszcze wczoraj mówiłam swemu Cyrylowi: „Popamiętaj moje słowa (powiadam), żebyś tak pilnował swojej sztuki, jak pilnujesz fajki, tobyś samego Rockfellera mógł wziąć se za lokaja“. A on na to: „Ja tam wolę wędzić się za życia, niż po śmierci“. On zawsze taki dowcipny! Ja nie kurzę. Krótko mówiąc, nie względem higieniczności, ani innej etykiety, tylko żeby mi urok kobiecości nie szwankował. Niby bez obrazu, bo może pani se też kurzy?

Mem zaprzeczyła głową. Dotąd brzydyla się tytoniem, teraz poczęło się jej uśmiechać takie wystawienie na szwank uroku kobiecości. Jęła przyglądać się uważnie dziwnej towarzysze, pogrążonej chwilowo w czytaniu. Wszystko w niej wydawało się jej napastliwie bezwstydnę. Nawet siedziela bezwstydnę: z zadartą głową, wstrząsaną poruszeniami, wprawiającemi żółte kędziory w lubieżne dreszcze, z rozdętymi nozdrzami, ramiona podane wtył, piersi naprzód, łokcie sztorcem, jedna ręka z rozdziawionymi palcami na biodrze, nogi sięgające przez pół przedziału, suknia tak podkasana, że ponad pończochę wizerowało kolano wyróżzowane i wypudrowane. Musiała jednak przyznać, że ładka była pięknie utoczona. Jak zgola wszystkie jej linje uderzaly smukłą wytwornością w rażącym przeciwieństwie do gburowatego prostactwa obojęcia i wysłowienia. Nagle dziwna ta kokietka zdumiała Mem pierwszym przekleństwem, poslyszanem z ust niewieścich:

— Ach, do stu kaduków! Niech ich jasne pioruny!... Patrz pani!

I tak żwawo skreśliła się w miejscu, że wzbila się od niej chmura wonności i pod sam nos podsunęła Mem otwartą księgę z wizerunkiem, który uderzył dziewczynę, jak policzek. Widniał tam młodzieniec, zlekka osłonięty lamparcią skórą (niczem więcej) i hasający rozkosznie; w wyciągniętych ramionach dzierzył podobnie rozdianą dziewczęcę, wyprężoną poziomo: odwrócona twarz w górę, przegięta w pasie, wtył nieco odchyłona, ze zwisającym gąszczem kędziorów, była boleśnie piękna. Pod ryciną podpis opiewał: „Viva d'Artoise!“

ROZDZIAŁ IX.

Aczkolwiek „krótko mówiąc“, pani Viva nie zakończyła oczywiście swej opowieści, kiedy służący znów wyglaszać począł wezwa-

nie, tym razem na obiad. Podróżni zrywali się pośpiesznie i Mem chciała pójść ich śladem, jeno że jej towarzysza była właśnie w połowie bardzo ciekawej historii i nie chciała jej przerwać. Przerwała wszakże na widok przechodzącej niewiasty o szlachetnych rysach i wyniosłej postawie. Za nią kroczył pan strojny i wylworny, lecz widocznie skwaszony złem wychowaniem pociągu, zataczającego się tak nieobliczalnymi ruchami, że trudno było zachować należytą równowagę.

— Wie pani, co to za jedni? — zapytała Viva i, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: — ona to wielka Miriam Yore, ta, co była wielkim tuzem wielkiej opery new-yorskiej przez lata i lata. A ten wycackany nadęciuch, co idzie za nią, to ten wielki pisarz angielski, ten sławny jakże-mu-tam, niby ten, co to napisał tę... no tę całą kupę książek. Jada też, oczywiście, do Holjud. Krótko mówiąc, każdy tam jedzie, a i tak już robi się ciasno...

Znów przerwała, gdyż pociąg rzucił parę wielkich zakrętasów, że między jednym podskokiem a drugim sławny pisarz oparł się o siedzisko Mem i wycedził:

— Doprawdy od wszystkich słyszę, że Hollywood jest stanowczo...

Mem nigdy nie dowiedziela się, jakim Hollywood jest stanowczo, albowiem wielki pisarz zataczał się już gdzieś dalej w nowych podskokach.

Po obiedzie Mem błakała się czas jakiś po pociągu, wypatrując przez okna, jak rażno cały świat wspak pomyka na przepadle, aż przypomniała sobie, że ona teraz wprzód winna spoglądać przed siebie i z tą myślą zabrała się do pisania listu do rodziców. Opisywała swą podróż z radosnem wylaniem, by skrzepić otuchę w sercach drogich istot, ale ani słowem nie wspomniela o Vivie, Cyrylu i innych towarzyszach podróży, o których wzmianka przeraziłaby zacnego pastora. Skończyła pisanie i już miała list zakleić, kiedy przypomniała sobie, że pominęła rzecz najważniejszą: spotkanie z „przyszłym mężem“, wedle „wątku“ wymyślonego przez d-ra Brethericka. Jakże to on się mazywa? Jakos na „W“. A prawda, Woodville! Nie wspomniela nikogo, spotkanego naprawdę; jęła opisywać narzeczonego urojonego; udalo się jej to nieźle. Po namyśle dodała *post scriptum*:

„Omala że nie zapomniela! Wyobraźcie sobie, kogo tu spotkala. Nie odgadlibyście nigdy! Pamiętacie, jak jeździłam do Cartage pielęgnować ciotkę Mabel? Pamiętacie, jak wam opowiadałam swe spotkanie w kościele z człowiekiem przystojnym i bardzo do rzeczy? Poprostu z panem Woodvillem, o którym tyle wam opowiadałam. Otóż, jakież było moje zdumienie, gdy natknęłam się na niego w pociągu. Jaki jednak świat ten mały! Jest dla mnie bardzo uprzejmy. Czuję się teraz wiele bezpieczniejsza, może dlatego, że zaznajomiliśmy się, wychodząc z kościoła. Nie wątpię, że i was to uspokoi, zwłaszcza, że to człowiek religijny i, co nie nie szkodzi, bardzo przystojny. Jeszcze raz, moi ukochani, bywajcie zdrowi!“

Dalsze losy Mem — jej pierwsze bolesne kroki na polu sztuki kinematograficznej — znajdują Czytelnicy już w następnym numerze „Książek“.



Podpisywanie kontraktu. Z książki T. Miciukiewicza „Świat dziwów kinematografu“ (w przygotowaniu).

NAKOŁO TEATRU

Obecnemu sezonowi teatralnemu poświęcić musimy specjalnie dużo uwagi. Pisaliśmy już w poprzednim numerze miesięcznika „Książki”, iż jest to w pełni tego słowa znaczenia

sezon polski.

Dyrektorzy naszych teatrów stołecznych jak na komendę „zabrali się” do repertuaru polskiego, zostawiając na boku wszystkie nieodzwonne dotąd sztuki zagraniczne. Rok więc bieżący był ciekawym eksperymentem w naszym życiu teatralnym, eksperymentem, zakończonym sensacyjnym wprost wynikiem: repertuar polski pod względem kasowym okazał się interesem znakomitym — sztuki naszych autorów „idą” doskonale, osiągając rekordowe wręcz powodzenie.

„Poszedł” więc **Murzyn Warszawski**, o którego powodzeniu pisaliśmy już poprzednio, „poszło” doskonale **Włamanie**, idzie **Adwokat i róże**, idzie **Panienska z dancingu**, idą **Dwaj panowie B.**, idzie **Miłość bez grosza**, idzie nawet — któżby się tego spodziewał — i **Fantazy**, chociaż, chociaż... Mam w tym miejscu ochotę opowiedzieć Wam o podsłuchanej w jakiejś cukierni rozmowie telefonicznej, kiedy to pewien elegancki pan namawiał kogoś — kogoś należącego do płci pięknej — aby się wybrał do teatru Narodowego, gdzie grają „Fantozjo tego, wie pani, Słowackiego...” Ponieważ jednak „ona” zgodziła się na tę propozycję, nie należy tracić nadziei: nasza sympatyczna para dowie się prawdopodobnie z programu teatralnego, jaki jest tytuł dramatu „tego Słowackiego”, tytułu, który, nawiasem mówiąc, także przecież autentyczny nie jest.

Panienska z dancingu.

zdobyła w Letnim wstępnym bojem publiczność warszawska. Jakże tu nie chodzić na tę „Panienskę”? Jakże tu nie mają na nią chodzić przedewszystkiem nasze panie? Przecież w „Paniencie z dancingu” pokazał Krzywoszewski najprostszą i najłatwiejszą drogę... wyjścia dobrze zamąż. Prostu trzeba umieć tańczyć i występować w dancingu, być przytem ładną, wdzięczną i — cnotliwą, a świetna partia, jak to się mówi, w kieszeni. Recepta prosta, łatwa i w każdym razie... współczesna. To też „Panienska z dancingu” ściągą do Letniego tłumy widzów i ma zapewnione dłużej jeszcze powodzenie.

Mają też zapewnione powodzenie i

Dwaj panowie B. — Hemara.

Czy widowia teatralna może się nie śmiać, widząc siebie samą w odbiciu teatralnym. A tak przecież dzieje się właśnie w „Dwóch panach B.” Na scenie mamy widowie teatralną, krzesła, łoże, publiczność. Znany krytyk warszawski p. Jan Lorentowicz może tam obejrzyć swoją wspaniałą brode, każdy z nas przy odrobinie dobrej woli może zobaczyć na scenie — siebie. Swoje recenzje — doskonale przytem sparodiowane — mogą usłyszeć ze sceny Boy-Żeleński i Słonimski... Juljusz Kaden-Bandrowski zainteresuje się może sprawą, gdzie w Warszawie leży ulica

Kaden-Bandrowskiego, a stali bywalcy teatru Polskiego z zainteresowaniem zastanawiać się będą nad tem, jaką znaną artystkę zespołu właśnie teatru Polskiego naśladuje pani Macherska w swojej wielkiej scenie interpretacji „Pierwszej kochanki”. Życie i teatr, prawdziwe przeżycie i fikcja — oto problemy, które tak wesoło i zabawnie poruszył Hemar w swoim debjucie teatralnym, który zdaje mu się wróżyć wcale dobrą przyszłość na polu naszej komedji.

Miłość bez grosza — STEFANA KIEDRZYŃSKIEGO,

grana obecnie w teatrze Małym — w każdym słowie, w każdej sytuacji tej

czy tylko pieniądze i jeszcze raz pieniądze, marząca o — kamienicy, o „swojej, naprawdę swojej” kamienicy. Znany krytyk warszawski, Adam Zagórski, nazwał „Miłość bez grosza”

Narodzinami pani Dulskiej,

trafnie wyczuwając pod skórą pani Witaminki — panią Dulską, pozbawioną na starość jakichkolwiek uczuć ludzkich, liczącą chciwie brudne groszaki, całą duszę i serce koncentrującą w „kamienicy”. Gdy śliczna pani Witaminka dożyje lat pani Dulskiej, będzie z niej z pewnością niezgorszy egzemplarz tego samego gatunku.

Z chwilą kiedy niniejszy numer mie-

NASZ PLEBISCYT

„DZIKUSKA” — CZY PAN TADEUSZ”.

Czytelnikom naszego miesięcznika i tym zwłaszcza osobom, które interesują się sprawami kinowemi i które chcą zatem wziąć udział w plebiscycie miesięcznika „Książki” p. t.

JAKA POWIEŚĆ POLSKA NADAJE SIĘ NAJLEPIEJ DO FILMOWANIA,

przypominamy, że termin nadsyłania odpowiedzi upływa nieodwołalnie z dniem 1-ym kwietnia bież. roku. W następnym numerze „Książek” ogłosimy już wyniki naszego plebiscytu i podamy do wiadomości nazwiska autorów nagrodzonych prac. Kto więc chce wziąć udział w naszym plebiscycie, musi się bardzo pośpieszyć i uwagi swoje nadsłać nam

NATYCHMIAST,

w przeciwnym bowiem razie nie będziemy już mogli ich uwzględnić, a byłoby nam bardzo nieprzyjemnie, gdybyśmy jakiejś dobrej odpowiedzi nie mogli uwzględnić z powodu zbyt późnego nam jej dostarczenia.

Dotychczasowy przebieg naszego plebiscytu dać powinien niemało do myślenia obserwatorom i badaczom naszego życia kulturalnego. Okazuje się bowiem niezbitie, że wystarczy rzucić jakąś ciekawszą inicjatywę, aby publiczność polska zareagowała na nią natychmiast bardzo żywo. Okazuje się, że trzeba tylko

UMIEĆ SZUKAĆ

w Polsce ludzi chętnych i rozsądnych, którzy nietylko myślą i zastanawiają się nad tem, co widzą, ale — co ważniejsze — wiedzą, do czego dążą i czego chcą. Redakcja miesięcznika „Książki” postawiła sobie za zadanie dotrzeć nie do t. zw. specjalistów, ale trafić do szerokich mas czytającej publiczności, licząc, iż właśnie tam znajdzie zrozumienie swoich celów i zamierzeń. Listy, jakie dostaliśmy w odpowiedzi na nasz plebiscyt, są wymownym dowodem, żeśmy się w naszych rachubach nie zawiedli. Tem chętniej więc i — mamy nadzieję — owocniej pracować będziemy dalej pod hasłem:

PUBLICZNOŚĆ POLSKA MA GŁOS.

komedji znać niesłychanie wprawna rękę doświadczonego i rutynowanego pisarza, którego komedje cieszą się w Warszawie ustaloną już popularnością. „Miłość bez grosza” pełna jest również tej specyficznej atmosfery warszawskiej, coprawda przesiąkniętej dziwnie zgnilym i mocno nieprzyjemnym zapachem. Cóż za galerja okropnych typów ludzkich! Prym wśród nich wiedzie urocza pani Witaminka, śliczna, miła, pociągająca, a kochająca w gruncie rze-

sięcznika „Książki” dojdzie do rąk naszych Czytelników, grać już może będą w teatrze Polskim oddawna zapowiadanego **Samuela Zborowskiego FERDY-NANDA GOETLA**, a w teatrze Narodowym **Batorego STANISŁAWA SZPOTANSKIEGO**. Będą to dwie premjery w wielkim stylu, a fakt, że obaj autorowie za temat swoich utworów wybrali sobie ten sam okres z historii Polski, da z pewnością pole do bardzo interesujących porównań i zestawień.

w Polsce tylko 1,000,000 ludzi umysłowo i materialnie stać na kupno książki, a wielka część tego miliona posiada wykształcenie zaledwie w zakresie szkoły powszechnej, Mówił o tem obszernie nasz redaktor, p. STANISŁAW ARCT na zebraniu Związku Księgarzy i Tow. Wydawców. W następnym numerze damy wyczerpujący artykuł na ten temat;

naokoło „Tadeusza“ JULJUSZA KADEN - BANDROWSKIEGO wywiązała się bardzo żywiona polemika o ciekawym podłożu społecznym; z polemiki tej w swoim czasie zdamy sprawę naszym czytelnikom;

głośna sprawa konkursu teatralnego w Krakowie nie jest jeszcze skończona. Podobno laureat drugiej nagrody, pan FERDYNAND GOETEL, ma zamiar wystąpić przeciw dyrekcji teatru krakowskiego na drogę sądową za to, iż sztuka jego nie weszła dotychczas w okres prób, co jest niezgodne z warunkami konkursu;

jeden z najwybitniejszych polskich artystów dramatycznych doby obecnej JÓZEF WĘGRZYN obchodził niedawno 25-lecie swojej pracy scenicznej. Na benefis sympatycznego artysty obrał Teatr Narodowy „Don Juana“ Zorilli, który w przepięknym tłumaczeniu Stanisława Miłaszewskiego czarował w swoim czasie publiczność polską. Na przedstawienie to stawili się ci wszyscy, którzy cenią i kochają talent p. Węgrzyna, a imię ich jest zaiste — legjon;

wielka powieść WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO o czarodzieju polskim Twardości Twardowskim ukazuje się niebawem w wydaniu książkowym. Ciekawa ta powieść ukazywała się w odcinkach „Tygodnika Ilustrowanego“, którego jeden z ostatnich numerów przyniósł i jej zakończenie;

mamy do zanotowania ciekawą książkę p. ANNY LEO, p. t. „Wczoraj“, w której autorka na zasadzie własnych wspomnień pokazała nam niezmiernie interesujący obraz Warszawy wczorajszej, tak nam jeszcze bliskiej, a tak już niepowrotnie dalekiej;

jedną z niedalekich imprez polskiej kinematografii ma być sfilmowanie rozgłosnej powieści FERDYNANDA GOETLA „Z dnia na dzień“. Będzie to w każdym razie próba bardzo interesująca.

W odrodzonej i wyzwolonej Polsce, tworzącej na nowo swoje szkolnictwo, zagadnienia pedagogiczne nabierają specjalnej wagi. Dlatego też każde poważne wydawnictwo pedagogiczne powitano być powinno przez nauczycielstwo nasze z żywym zainteresowaniem.

Do rzędu takich poważnych wydawnictw należy niewątpliwie książka, która niedawno ukazała się w nakładzie M. Arcta, a mianowicie:

Ed. Claparède: SZKOŁA NA MIARĘ. Z francuskiego przełożył dr. Zygmunt Ziemiński. Cena zł. 1.80.

O książce tej czytamy w Nr. 10 „Przeglądu Pedagogicznego“:

W tym niedługim odczycie... znakomity pedagog Szwajcarii romańskiej przeciwstawia się obecnej organizacji szkolnictwa, dostosowanej do średniej inteligencji uczniów i nie dającej się rozwinąć wybitnym zdolnościom. Autor rzuca myśl takiej szkoły, któraby była „na miarę“

każdego rodzaju uczniów, zdolnych i mniej zdolnych, zamiłowanych i uzdolnionych w jednym lub w różnych kierunkach.

Jednym z najbardziej palących zagadnień w zakresie naszego szkolnictwa jest sprawa reformy szkolnej. W krąg tych zagadnień doskonale wprowadza książka **Tomasza Doświadczynskiego DIALOG O REFORMIE SZKOLNEJ** (zł. 2.50).

„Prawda“ w Nr. 49-ym pisze:

Treść tej książeczki zawiera w sobie w żywej formie a obiektywnie podane wszystkie prawie argumenty zwolenników i przeciwników reformy... Autor sam, jak to widać z treści, doskonale znał szkolnictwo tak polskie, jak i zagraniczne, sprawy nie rozwiązuje ostatecznie, podaje kilka możliwości... Z pracą zaznajomić się powinni wszyscy, których interesuje szkolnictwo.

W Nr. 10 „Przeglądu Pedagogicznego“ czytamy:

Książeczkę tę przeczytała się z pożytkiem i przyjemnością, tem bardziej, że autor wskrzesił zapomnianą formę dialogu, którą przeprowadził znakomicie.

GOŚĆ W DOM, BÓG W DOM

Z powodu nawalu materiału redakcyjnego zmuszeni jesteśmy rozstrzygnąć konkursu na najlepsze zakończenie noweli

Gość w dom, Bóg w dom

odłożyć do następnego numeru.

Już teraz jednak możemy podzielić się z naszymi Czytelnikami wiadomością, iż nadesłane nam odpowiedzi są niezmiernie interesujące ze względu chociażby na ich różnorodność.

Są one zaiste dowodem różnorodności fantazji ludzkiej.

Są wśród nich zakończenia smutne i zakończenia wesołe, rozwiązania pełne grozy i melancholji, kończące się tragicznie i ponuro — i rozwiązania pełne pogody, kończące się nawet... ołtarzem ślubnym.

Nie zdradzajmy jednak przedwcześnie tajemnic redakcyjnych.

Do następnego numeru, kochani Czytelnicy! A nie zwlekajcie z odpowiedziami, bo w numerze kwietniowym konkurs nasz bezwzględnie zamykamy.

Z zakresu pedagogji mamy do zanotowania dwie nowe ważne pozycje wydawnicze, a mianowicie:

G. F. Stout: ZARYS PSYCHOLOGJI (zł. 8.—).

oraz

W. J. Wyczałkowski i P. Zborowski: ĆWICZENIA PRAKTYCZNE I ZADANIA Z FIZYKI (zł. 9.—).

„Zarys psychologii“ G. F. Stouta ukazuje się obecnie w drugim już wydaniu. Wydanie pierwsze zostało wyczerpane w ciągu krótkiego dosyć czasu.

„Ćwiczenia praktyczne i zadania z fizyki“ pomyślane są jako podręcznik dla uczniów wyższych klas szkół średnich oraz dla pierwszych semestrów szkół akademickich.

Polemiki, polemiki..

Jakaś bania nie tyle z pozją, ile z ostrą zaprawą polemiczną rozbiła się tego roku nad Polską. Może wyjątkowo mroźna zima tegoroczna zagrzała tajemniczym jakimś sposobem ludzi do walki i kłótni. Tak zresztą czy inaczej, z tych czy innych powodów — dość, że znowu mamy do zanotowania parę wcale ciekawych pozycji z zakresu walk podjazdowych między naszymi literatami. Ledwo ucichło echo sławetnego konkursu teatralnego w Krakowie, zaledwie przebrzmiała polemika między dyrektorem Szyfmanem z jednej, a E. Breiterem i Juljuszem Kaden-Bandrowskim z drugiej strony, aliści opinja publiczna zaalarmowana została wieścią o nowej polemice, tym razem między

Boyem - Żeleńskim a Stanisławem Miłaszewskim.

Któż nie zna w Polsce Boya? W jednym z codziennych pism warszawskich ukazał się ostatnio ex re właśnie polemiki z p. Miłaszewskim obszerny wywiad z Boyem. Do fotografii tej dołączono znamiennej fotografię Boya-Żeleńskiego obok piramidy napisanych przez niego książek. Piramida ta wyż-

sza jest o głowę od ich autora. Świetny stylista, głęboki znawca literatury, dowcipny a głęboki, zasłużył się Boy niewątpliwie dobrze literaturze polskiej.

Zasłużył się jej dobrze i Stanisław Miłaszewski, autor przepięknego „Farysa“, z takim powodzeniem granego w swoim czasie w teatrze Narodowym, twórca „Don Kichota“, który zbierał laury w teatrze Polskim. Dwaj ci ludzie pokłócili się teraz na dobre, przyczem z obu stron padały słowa bardzo a bardzo ostre. Miłaszewski w „Rzeczypospolitej“ pisze w artykule „Błaski i nędze Boya-Żeleńskiego“:

Staczając się w ostatnich latach z rekordową szybkością coraz niżej, Boy-Żeleński ściągnąć postanowił do swego poziomu wybitne postacie piśmiennictwa... Ekshibicjonizm, symulacja, propaganda zbrodni, brudzenie wielkich tradycji i wybitnych jednostek, oto objawy przedwstępne, wróżące zazwyczaj kryzys w duszach, trawionych gorączką wojującego ateizmu.

Boy-Żeleński nie przejął się jednak widocznie zbyt atakami twórcy „Farysa“. W wywiadzie, udzielonym „Kurierowi Czerwonemu“, pisze:

Mam osobno teki z wycinkami z prasy, których dostarcza mi Informacja Prasowa Polska; ta codzienna porcja wymyślań stała mi się prosto potrzebna do zdrowia.

Zbliża się wiosna, a z nią razem i matura, ta chwila, otwierająca szerokie perspektywy dalszej, już samodzielnej pracy i nauki.

Ale maturę trzeba zdać. Trzeba zdać ją dobrze. Niezależnie więc od zwykłych podręczników dobrze jest wziąć do ręki i parę książek specjalnych, które znakomicie ułatwić mogą przyszłą robotę. Oto np.

Tematy maturalne w szkołach średnich ogólnokształcących Rzeczypospolitej Polskiej, zebrane przez Stowarzyszenie Dyrektorów Polskich Szkół Średnich Państwowych, ze wszystkich przedmiotów. Tom II, rok 1928. Cena zł. 3.—.

Tematy maturalne są, oczywiście, co roku inne. Zapoznanie się jednak z ich ogólnym charakterem i poziomem oddać może nieocenione usługi zarówno nauczycielstwu, jak i młodzieży, która śmiało i pewnie przystąpi do egzaminu maturalnego, wiedząc mniej więcej, czego od niej żądać mogą. Nauczycielstwu też i młodzieży naszej przydadzą się też z pewnością i następujące książki:

Wąsik W. TEMATY Z JEZYKA LACIŃSKIEGO (zł. 3.—),

oraz

ZADANIA MATURALNE Z MATEMATYKI zebrał Z. Szczawiński (zł. 2.—).

Nauka o Polsce i to zarówno o Polsce Współczesnej jak i o jej dziejach stanowi dzisiaj najważniejszą bodaj gałąź nauczania naszego szkolnictwa średniego. Stanowi też ona niezmiernie ważny dział egzaminów maturalnych. Dla nauczycieli i uczniów przeznaczona jest książka:

St. Arnolda, Cz. Leśniewskiego i H. Pohoskiej: POLSKA W ROZ-

WOJU DZIEJOWYM. Zagadnienia polityczne, ustrojowe, gospodarczo-społeczne, kulturalne. Zeszyt I. Dzieje polityczne Polski. Cena zł. 6.50.

Zadaniem tego nowego podręcznika jest przedstawienie dziejów Polski w układzie zagadnieniowym, mogącym ułatwić zrozumienie poszczególnych zjawisk współczesnych w ich dziejowym rzwoju. Zawiera działy następujące, rozpatrywane od czasów powstania państwa polskiego do czasów dzisiejszych: I. Zagadnienia polityczne (zewnątrzne). II. Zagadnienia ustrojowe. III. Zagadnienia gospodarczo-społeczne. IV. Zagadnienia kulturalne. V. Polska Współczesna.

Uczniowie, przystępujący do egzaminu dojrzałości, zapoznać się też powinni koniecznie z książką **K. Dolińskiego DZIEJE POLSKI** i wiadomości o Polsce Współczesnej (zł. 3.20).

DLACZEGO ZOSTAŁEŚ OKRADZONY?

Pytanie to zadaje sobie każdy, kto został okradziony, każdy, kto na własnej skórze wypróbował celowość i zręczność metod „roboty złodziejskiej” — ale pytanie to przychodzi zazwyczaj poniewczasie, wtedy, kiedy kradzież jest już faktem dokonanym.

A przecież lepiejby było, gdybyśmy jeszcze przed kradzieżą zastanowili się nad tem, jak jej uniknąć, w jaki sposób zapobiec tej katastrofie, grożącej niejednokrotnie ruiną materialną całego naszego życia.

W jaki sposób uchronić się przed kradzieżą, w jaki sposób pokrzyżować plany czyhających na nasze mienie złodziei, — tego nauczyć się można z niezmiernie interesującej i pożytecznej książki p. t.

Dlaczego zostałeś okradziony,

która w nakładzie M. Arcta ukaże się niebawem na rynku księgarskim.

Książeczkę tę polecamy gorąco kupcom, przemysłowcom i wogóle tym wszystkim, którzy posiadają w swoim ręku coś, co można ukraść, a więc w gruncie rzeczy — wszystkim.

Prasa o nowych wydawnictwach M. Arcta.

Poniżej podajemy głosy prasy polskiej o najnowszych wydawnictwach M. Arcta:

SŁOWNIK ILUSTROWANY JEZYKA POLSKIEGO.

Gdy się rozejrzy w materiale słownikowym, wnet się stwierdzi znaczne jego pomnożenie w różnych zakresach... Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na wyraźnie zaznaczony charakter normatywny Słownika... to wyczerpiemy pobieżną, ale wogóle dodatnią ocenę Słownika, który można czytać i piszącej publiczności tylko polecić.

(Kurjer Poznański, Nr. 111).

W rzędzie słynnych wydawnictw leksykalogicznych księgarni nakładowej M. Arcta, tak chlubnie około piśmiennictwa polskiego zasłużonej, oznaczone powyżej dzieło zajmuje miejsce niepoślednie... Książka ta wywiera taką moc pociągającą, że, wyznając, posługuję się nią nie tylko przygodnie, lecz niekiedy czytuję się w nią jakby w jakąś wielolejzyczną autologię.

(Głos Prawa, Nr. 7—8).

CZERWONE KSIĄŻKI M. ARCTA.

Żadna z firm polskich wydawniczych od szeregu lat nie zajęła takiego stanowiska wśród społeczeństwa polskiego, jak Księgarnia i Zakłady Wydawnicze M. Arcta. W ciągu kilku lat stworzył M. Arct poważną bibliotekę we wszechstronnych prawie dziedzinach. Celowość wydawnictw wskazuje na doskonałe znawstwo społeczeństwa i jego potrzeb... Zwróćmy uwagę na 4 powieści z t. zw. cyklu „Czerwone Książki”. Jest to seria amerykańskich powieści dla starszych. Odznaczają się te powieści zdrowym optymizmem,

wewnętrzna wartością bohaterów, ich poświęceniem i dyscypliną woli.

(Polonia, Nr. 347).

Powieść („Żelazny szlak” Rex Beacha) sama na tym podkładzie społecznym nie traci. Sensacyjna i fascynująca fabuła przykuwa uwagę czytelnika... Kto pragnie dowiedzieć się, jak wygląda książka, która potrafiłaby w masach zająć miejsce „trędowatych” Bujd i różnych „Dzikusek”, niechaj przeczyta tę właśnie powieść. Księgarni Arcta trzeba pogratulować wyboru.

„Prawda” (Łódź, Nr. 50).

Firma M. Arcta wydała kilka przekładów pisarzy amerykańskich. Jest to pomysł szczęśliwy. Z czterech autorów, których powieści zostały spolszczone, Zane Grey i Rex Beach znajdują niezawodnie oddźwięk w polskim czytelnictwie.

(„Echo tygodnia”, Nr. 7).

M. ULANICKA. PROWADZENIE DOMU.

Jest to prawdziwa encyklopedia pożytecznych wiadomości gospodarczych, zastosowana już do obecnego układu potrzeb domu, niedużej ilości i mało umiętej służby, małych mieszkań, trudnych warunków ekonomicznych... Dział pomocy w drobnych niedomaganiach i apteczka domowa uzupełniają tę pożyteczną ze wszech miar książkę, która — nie wątpię — iż stanie się pomocniczą dbałą o dom swój gospodyń.

„Kurjer Warszawski”, Pani Elżbieta.

Cecile B. de Mille ukończył niedawno wielkie arcydzieło „Bezbożne dziewczę”, osnute na tle walk religijnych w Ameryce. Akcja toczy się w szkołach dla dziewcząt, które należą do dwóch różnych obozów religijnych. Technika tego filmu stoi podobno na niezwykłym poziomie. Scenarjusz Fannie McPherson, stałej współpracownicy wielkiego reżysera.

Następnym filmem de Mille'a będzie „Dynamit”, dramat z życia robotniczego.

Ciekawą inowacją wprowadza jedna z wielkich wytwórni, przystępuje mianowicie do nakręcania szeregu filmów z życia różnych narodów. Pierwszym filmem tej serii będzie „Hallelujah”, dramat z życia murzynów, wykonany jedynie przy udziale artystów murzynów. Biały reprezentują: reżyser King Vidor i personel techniczny.

Drugi film tej serii to „Miłość Polinezyjki”, wykonany przy udziale, nawet w rolach głównych, mieszkańców wysp Tahiti i Samoa. Reżyserja Van Dyke.

Świetna sztuka teatralna „Adrienne Lecouvreur”, grana z powodzeniem w Teatrze Polskim w Warszawie z Marią Przybyłko-Potocką w roli głównej została nakręcona w Ameryce z Joan Crawford w roli tytułowej. Reżyserja Fred Niblo.

Fritz Lang, znany reżyser niemiecki, twórca „Metropolisa”, „Nibelungów” i „Szpiegów”, realizuje obecnie film „Kobieta na księżycu”, którego akcja toczy się wśród specjalnie zbudowanych planetów księżycy, według projektów najznakomitszych architektów. Film został osnuty na tle powieści Harbou, małżonki tego reżysera.

Edgar Wallace, niezwykle poczytny autor powieści kryminalnych, jest obecnie najbardziej wziętym autorem filmowym. Przed dwoma laty wyświetlano w Warszawie film „Potwór”, osnuty na tle jego powieści, niedawno w Niemczech ukończono film z naszą rodaczką Lią Marą „Czerwony krag”, w Anglii ukończono jego filmy „Kameleon”, „Zielona rdza”; obecnie realizuje się tam film „Temperament”, którego reżyserem będzie Wallace osobiście. Za prawo autorские bierze Wallace stosunkowo małą sumę 5000 dolarów od utworu.

Wytwórnia „Metro” przystąpiła do nakręcania utworu Lwa Tołstoja „Żywy trup”. W Niemczech również nakręcono film osnuty na tle tego arcydzieła. W głównych rolach filmu amerykańskiego ukazują się John Gilbert jako Fedja, Renée Adorée jako Liza.

Liliana Gish zwana „Duse ekranu” wystąpi pod reżyserją Maxa Reinhardta w kilku filmach, osnutych na tle słynnych utworów scenicznych.

Dramat sceniczny bułgarskiego pisarza majora Petszkowa p. t. „Zdrowy chłop” posłuży jako scenarjusz następnego filmu z Lon Chaneyem. Nawet Bułgarzy doczekali się tego, że Amerykanie sięgają do ich literatury, Polska zaś, jak dotychczas, pochwalić się tem nie może.

Elinor Glynn pobiła rekord: piętnastą jej powieść filmuje „Paramount”, Rex Beach stoi na drugim miejscu — 10 powieści sfilmowanych, Rupert Hughes na trzecim — „tylko” 8 powieści sfilmowanych.

WALKA O ŻEROMSKIEGO

Tak, walka o Żeromskiego, walka podjęta właściwie nie dzisiaj, ale wszczęta już parę miesięcy temu. Rzecz to niewątpliwie ciekawa. Twórczość Żeromskiego wyrzyła tak charakterystyczne piętno na całym okresie naszej literatury, że wszystko, co się oceny i analizy tej twórczości tyczy, zasługuje na bardzo baczną uwagę. Warto więc rzucić okiem na przebieg tej walki wobec tego zwłaszcza, że pojawienie się książki

Jana Emila Skińskiego:

Poza wieszczbiarstwem i pedanterją

(zł. 8.—),

jest tej walki walnym i zasadniczym etapem, chociaż najpewniej akordem końcowym jeszcze nie będzie... Niech jednak fakty mówią same za siebie. Przyjrzyjmy się, jak wyglądają początki tej całej w każdym razie sensacyjnej historii.

21 kwietnia ub. roku w 6-ym numerze „Echa tygodnia” ogłosił p. Janusz Herlaine artykuł p. t. „Żeromski na warsztacie przekładowym”, w którym, zdając sprawę z prób przekładu na francuski „Wiatru od morza”, pisze między innymi

Żeromski poprostu nie umiał pisać. Wynikało to może z jego samouctwa, ale bardziej z tego, że nikt tej umiejętności od niego nie wymagał... Uważanie Żeromskiego za pierwszorzędny stylisę i artystę pióra jest jednym

z tych nieporozumień, które należałoby zlikwidować w imię losów przyszłej literatury i jej dobra.

Artykuł p. Herlaine'a nie mógł pozostać bez odpowiedzi. W numerze 8-ym „Echa tygodnia” odpowiedział nań bardzo stanowczo p. Lucjan André, podkreślając, iż p. Herlaine, atakując Żeromskiego jako stylisę i artystę pióra, za dużo uwagi zwrócił na pewne czysto zewnętrzne zwroty i zestawienia słowne, „nie troszcząc się zgoła o ich organiczny związek z całością”. Odpowiedział p. Herlaine'owi również i znany a wybitny polonista, autor cennej pracy o Krasieńskim, prof. Tadeusz Pini, który w numerze 158-ym „Kurjera Polskiego” pisze:

Bo nie rozumieć — to jeszcze nic złego; ale nie rozumiejąc, występować z publicznym oskarżeniem, o największym od czasu Słowackiego mistrzu języka twierdzić publicznie, że on „nie umie pisać”, traktować go, jak pierwszego lepszego chłystka literackiego i z wyżyn swej nieznamojskości języka polskiego rzucać mu jak lichemu koledze po piórze ironiczne, niby zjadliwe uwagi — to chyba najsmutniejsze nieporozumienie, jakie się może zdarzyć na polu literackim.

Odpowiedź prof. Piniego zamknęła na pewien czas dyskusję około artykułu p. Herlaine'a. Po paru miesiącach podjął ją znowu w numerze 264-ym „Kurjera Polskiego” p. Herlaine, w artykule p. t. „Porozumienie”, pisząc między innymi:

Czytelnicy (Żeromskiego), oczarowani siłą ekspresji, dźwiękiem słów, zrzekli się należności w postaci — spełnienia obietnic istniejących w założeniu każdego utworu, a nie spełnionych. Zrzekli się też analitycznego dochodzenia, na czem polega ten czar, który sprawia, że bohaterzy-straceńcy Żeromskiego tańczą zawrotny taniec śmierci w samoudręce i samozaparcu, a czytelnikowi w zachwycie nogi w ten sam takt się poruszają...

Artykuł prof. Piniego w numerze 266-ym „Kurjera Polskiego” pod wymownym tytułem „Niemożność porozumienia się” zakończył polemikę Herlaine-Pini. Rzecz jednak charakterystyczna i ciekawa: ten sam artykuł p. Herlaine'a, który ściągnął na siebie protesty p. André i prof. Piniego, wywołał w innych kołach czytelników polskich żywe uznanie. „Tęcza” z 12-ego maja pisze:

„Nie wolno tylko dotykać Żeromskiego. Czy tak będzie dalej? Janusz Herlaine napisał w „Echu tygodnia” lapidarny, nadzwyczaj trafny artykuł o mankamentach artystycznych Żeromskiego, uniemożliwiający przekłady tego pisarza na języki obce. Może Herlainowi pozwoła? Zobaczymy.

W takiej to atmosferze dyskusji i polemiki ukazała się książka p. Skińskiego.

Nie jest to właściwie książka wyłącznie o Żeromskim. Zawiera ona szereg artykułów, z których tylko jeden poświęcony jest w całości Żeromskie-

mu. Mimo to jednak ten właśnie artykuł stał się ośrodkiem zainteresowania powszechnego. Zamiast podawać krótsze czy dłuższe streszczenie wywodów p. Skińskiego dajmy głos jemu samemu. Na str. 23-iej swej książki pisze p. Skiński:

Dla inteligenta polskiego jest Żeromski:

1) wielkim artystą, 2) myślicielem, 3) wieszczem.

Przeciwstawiając się tej opinii, będę usiłował udowodnić, że:

1) Jako artysta jest Żeromski sprawny na niewielkim tylko odcinku, który opanował zresztą znakomicie; 2) nie jest myślicielem; 3) nie będąc wieszczem, jest wyrazicielem tego wszystkiego, co w inteligencji polskim jest najslabsze, najbardziej życiowo upośledzone i bezpłodne.

„Poza wieszczbiarstwem i pedanterją” wywoła z pewnością ostrą i ożywioną polemikę. Narazie mamy do zanotowania znamienny głos prof. Ignacego Chrzanowskiego, który w „Tęczy” pisze między innymi:

Rozprawa ta należy do najświetniejszych rzeczy, jakie polska krytyka literacka zapisała w swych rocznikach.

„Znalazł się na koniec krytyk bardzo zdolny a uczciwy i... niezwykle odważny, który bez ogródki napisał i wydrukował to, co oni w ciichości ducha myśleli...”

Tak, Żeromski to nadewszystko liryk, wielki liryk, który, jak to Skiński stwierdza, „zapraagnął być epikiem i socjologiem”. Dodajmy, że epikiem był tylko w luźnych, często niespojonych z resztą całością scenach i obrazach... Socjologiem zaś nie był nigdy.

OLBRZYMIĄ POCZYTNOŚĆ ZDOBYŁY POWIEŚCI HISTORYCZNE WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO

CZARNY GENERAL

2 tomy w jednym zł. 9.— w oprawie 12.—

HURAGAN

w 3 tomach zł. 18.—, w oprawie 27.—

ROK 1809

w 2 tomach zł. 10.—, w oprawie 16.—

SZWOLEŻEROWIE GWARDJI

w 1 tomie zł. 7.—, w oprawie 10.—

KSIĘŻNA ŁOWICKA

w 2 tomach zł. 10.—, w oprawie 16.—

BEM

w 1 tomie zł. 8.—, w oprawie 11.—

KRÓLOBÓJCY

w 1 tomie. Z rycinami zł. 10.— w opr. 13.—

11 tomów brosz. zł. 72.—

w ozdobnej płócienn. opr. ze złoceniami
zł. 105.—

WYDAWNICTWO
DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ
Warszawa, plac Trzech Krzyży 8

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH
KSIĘGARNIACH

10 PIERWSZORZĘDNYCH POWIEŚCI D. K. P.

Jan Augustynowicz

KSIĄDZ PROT

Zł. 4 80

PIEKŁO

Zł. 8.—

Emma Jeleńska

DWÓR W HALINISZKACH

powieść w 2 tomach Zł. 10 —

Henryk Łubiński

RYCERZE ŚMIERCI Zł. 8.—

Marion

ROZBITE GNIAZDA Zł. 4 80

J. Nikorowicz

NIEŚMIERTELNY KOCHANEK
Zł. 3.—

Józef Pollak

ZBŁĄKANY PIELGRZYM
Zł. 7.50

Józef Relidzyński

POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA
Zł. 9.—

Adam hr. Rzewuski

ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU
Zł. 8.—

Anna Zahorska

TRUCIZNY Zł. 6.60

Niebawem ukaże się dawno zapowiadana

KOSSOWSKA KUCHNIA JARSKA

Dr. A. TARNAWSKIEGO.

Jest to zbiór przepisów higienicznych i kuchennych, stosowanych w tak popularnym zakładzie d-ra A. Tarnawskiego w Kossowie.

WYDAWNICTWA
DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ
Warszawa, plac Trzech Krzyży 8

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH
KSIĘGARNIACH

KSIĄŻKI Z CAŁEJ POLSKI

Andrzej Strug. KLUCZ OTCHŁANI. Jest to zbiór wstrząsających opowiadań z czasów wielkiej wojny; pozostawiają one niezatarte niczym wrażenie, przykuwając uwagę czytelnika głębokością spostrzeżeń i potęgą przedstawienia. Zł. 7.

Bronisława Włodkówna. RÓWNOLEGLE ŚCIEŻKI. Akcja tej interesującej powieści toczy się na gruncie konsulatu polskiego w jednym z miast niemieckich. Przed oczyma Czytelnika przesuwa się cała galeria typów, rzucanych przez los w wir najprzeróżniejszych wypadków. Powieść cała ma w sobie gorący posmak aktualności, co niewątpliwie przyczynia się do jej ożywienia. Zł. 9.

Marta Zyn. O KRÓLEWNI, KSIĄŻĘCIU I ICH MIŁOWANIU. Śmiała ta próba ożywienia zamierzchłej powieści historycznej przynosi nam na dwór Bolesława Wstydlwego i odsłania przed nami przedziwne dzieje jego małżeństwa z królową Kingą. Zł. 10.

Władysław Rymkiewicz. PAN SWEGO ŻYCIA. „Pan swego życia“ to zbiór nowel (Pan swego życia — Różowe — Złote — Czarne — Wiesław i Gladys), których tematy, zaczerpnięte z codziennego, otaczającego nas życia, zainteresować muszą każdego, kto to życie zna i z nim się stykał. Zł. 8.

Maria Krasinska. WOLNY PTAK. Autorka przynosi akcję swej powieści w lata poprzedzające bezpośrednio wielką wojnę, pokazując nam życie sfery ziemianko-arystokratycznej na Litwie. Na miejsce naczelnego powieści wysuwa się świetlana postać bohaterki, szukającej napróżno szczęścia w życiu osobistym, a znajdującą je wreszcie w miłości innych i obowiązku. Zł. 8.

Emil Zagadłowicz. CIEN NAD FALAMI. Jest to część trzecia „Żywota Mikołaja Srebrzypisanego“, obejmująca dalsze losy Mikołaja, stawiającego pierwsze kroki w szkole, dojrzewającego nagle a boleśnie pod straszliwym obuchem nieszczęścia: śmierci ukochanego ojca. Zł. 10.

Teresa Sapieżyna. WILCZYCA. Autorka „Wilczyca“ dowiodła nietylko że zna i rozumie przyrodę, ale że kocha i umie odczuć duszę zwierzęcą. Historia wilczycy „Diany“ to historia naprawdę wrzuszająca, niezwykle przytem ciekawa i zajmująca. Zł. 12.

Wanda Grochowska. WÓJTÓWNA. Prosta, zajmująca i miła opowieść o życiu młodej wienśniaczki, walczącej wytrwale o swoje szczęście, krzepionej we wszystkich najcięższych chwilach gorącą wiarą i miłością Boga. Zł. 3.

Józef Pollak. ZBŁĄKANY PIELGRZYM. Historia o sercu człowieka, który wyparł się Boga, aby doń po latach tułaczki, udręki i cierpienia pokornie powrócić. Zł. 7.50.

René Benjamin. GENJUSZ CZYLI CUDOWNY ŻYWOT BALZAKA. Jest zawsze wielką pokusą dla powieściopisarza ożywić niejako na nowo wielkie postacie historyczne, znane szerokiej publiczności z tradycyjnego przekazania. Książka René Benjamin jest takim interesującym ożywieniem na nowo postaci Balzaka.

Andrzej Maurois. DZIECIĘ SŁONCA. „Dzieci słońca“ to subtelna, pełna wdzięku opowieść o wielkim poecie Shelley'u, książka subtelna, jaką najczęściej spotkać można w literaturze dzisiejszej. Zł. 9.

Maurycy Paryżanin. „KRASSIN“ NA OD-SIECZ „ITALJI“. Nie przebrzmiały jeszcze echa tragedji „Italji“, książka więc Maurycygo Paryżanina, uczestnika wyprawy „Krassina“, zainteresuje z pewnością tę publiczność, która z taką uwagą śledziła losy nieszczęsnej wyprawy. Zł. 9.

Edgar Wallace. KRÓL NOCY. Nowa powieść Wallace'a — wszelkie inne komentarze zbyleczne. Zł. 8.

W. Szafer. YELLOWSTONE, KRAJ GORA-CYCH ŹRÓDEŁ I NIEDŹWIEDZI. Książka niniejsza oparta jest w pierwszym rzędzie na własnych obserwacjach i przeżyciach, ma więc ciekawą a tak bardzo pociągającą rys indywidualny. Zł. 5.60.

Stefan Zweig. 24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY. Jest to cykl subtelnych, wnikliwych i niezmiernie mądrych nowel. Biję z nich niezwykła znajomość życia i ludzi. Zł. 7.

Jakób Wassermann. STRACONE LATA. Jakób Wassermann należy dziś niewątpliwie do najwybitniejszych powieściopisarzy niemieckich. „Stracone lata“ to historia człowieka dzisiejszego, wytrąconego przez wojnę ze zwykłej kolei życia, z trudem i cierpieniem szukającego po powrocie z długiej niewoli na nowo prawdy i sensu życia.

Guido da Verona. KOBIETA, KTÓRA WYMIŚLIŁA MIŁOŚĆ. Włoska ta powieść pełna jest prawdziwie południowego żaru. Silne namietności prowadzą w niej ludzi do zguby, upadku i śmierci. Zł. 7.

W. J. Locke. KOCHANY ŁAZIK. Z dziwnym wzruszeniem czyta się tę pogodną powieść angielską, pełną w gruncie jasnego optymizmu i wiary w życie. Historia „Kochanego łazika“, Parogota, z niefrasobliwą wesołością wędrującego po drogach życia i kończącego je w pracowitym znoju na łonie matki-przyrody, opowiedziana jest zajmująco i z nieporównanym wdziękiem. Zł. 7.

Edgar Wallace. TAJEMNICZA KULA. Jeżeli zaczynasz czytać tom Wallace'a wieczorem, nie odłożysz go rychłej, aż doczytasz do końca, choćby ranek miał cię przy tem zastać. Zł. 7.

Teodor Dostojewski. MŁODZIK. Genjalne powieści największego bodaj powieściopisarza rosyjskiego i dziś jeszcze nie przestały interesować inteligentnego czytelnika nietylko u nas, ale i w całej Europie. „Młodzik“ należy do lepszych powieści Dostojewskiego. Zł. 5.

J. Krishnamutri. KRÓLESTWO SZCZĘŚCIA. „Jeżeli uda wam się wyrość ponad nędzę myśli i wyraźnie usłyszeć posępeły głos, wtedy zrozumiecie niewątpliwie i nieomylnie, czym jest Królestwo Szczęścia, Prawo i Prawda“ — książka J. Krishnamutri jest nauką, jak to uczynić należy. Zł. 5.

Insurekcje. Pod redakcją ADAMA SZELĄGOWSKIEGO. Dzisiaj, w błogosławionym okresie wyzwolenia, obowiązkiem każdego Polaka jest zwrócić oczy w odległą, pełną bólu i wielkości przeszłość. „Insurekcje“ zawierają między innymi: Marszałek Piłsudski: Rok 1863. Z. Padlewski: Spowiedź przed stracaniem. A. Zamoycki: Odezwa do rządu francuskiego i inne.

Zygmunt Wasilewski. POECI I TEATR. Wybitny krytyk, wirtuozny esteta i znawca literatury dał w tej książce trzy niezmiernie interesujące studia o Wyspiańskim, Iłakowiczównie i Staffie oraz przegląd najwybitniejszych sztuk ostatnich sezonów teatralnych. Zł. 7.50.

Irena Drozdowicz-Jurgielewiczowa. TECHNIKA POWIEŚCI ŻEROMSKIEGO. Poważne to studjum przyczyni się z pewnością do zdania sobie sprawy, na czym polega artyzm i wielkość powieści Stefana Żeromskiego. Zł. 6.

Jadwiga Petrażycka-Tomicza. ROZMYŚLANIA O SZTUCE. Sztuka nieodłączną towarzyszką ludzkości. Źródłem i celem sztuki jest życie. Sztuka społeczna i uniwersalizuje życie. Sztuka a przyroda. Sztuka a etyka. Demokrytyzacja sztuki. Sztuka narodowa. Sztuka a krytyka. Sztuka a nauka. Zł. 6.

Tadeusz Szydłowski. SPÓR O GIOTTA. Problem autorstwa fresków w Asyżu na tle rozwoju metody historii sztuki. Zł. 2.

St. Wyspiański. WESELE. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Leon Płoszewski. Zł. 3.50.

Adam Mickiewicz. GRAŻYNA. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Juliusz Saloni. Zł. 1.20.

Jan Kochanowski. WYBÓR POEZYZJ. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Stanisław Adamczewski. Zł. 2.80.

Bohdan Nawroczyński. SWOBODA I PRZY-MUS W WYCHOWANIU. Jest to zbiór siedmiu cennych rozpraw (Swoboda i przymus w wychowaniu. Główna zasada t. zw. Szkoły Pracy. Dlaczego powinniśmy uprawiać pedagogikę naukową. Zadanie wychowawcze naszego pokolenia. Wiejskie ogniska wychowawcze szkół wielkomiejskich. System Daltoński) z zakresu pedagogiki naukowej, który powinien znaleźć się w rękach każdego inteligentnego nauczyciela. Zł. 6.

Dr. Z. Klemensiewicz. DYDAKTYKA NAUKI O JEZYKU OJCZYSTYM. I. Doświadczalna dydaktyka nauki o języku ojczystym, jej potrzeba, zagadnienia metody. Tymczasowe stanowisko dzisiejszej dydaktyki. II. Cel nauczania gramatyki i nauki o języku ojczystym w szkole. III. Stopnie i okresy w nauce o języku ojczystym. IV. Szkolny zakres nauki o języku ojczystym. V. Zasady metodyki nauki o języku ojczystym. Zł. 5.40.

Z. Mayzłówna. METODA NAUCZANIA GRAMATYKI JEZYKA OBCEGO W V-EJ I VI-EJ KLASIE GIMNAZJALNEJ. Nauczanie języków obcych zajmuje w naszym szkolnictwie średnim miejsce bardzo poczesne, każdy zaś, kto z tą gałęzią nauczania miał coś wspólnego, wie, jakie trudne zadanie stoi przed nauczycielem języków obcych w szkole średniej. Należy się więc szczerze cieszyć, iż ukazała się w tej dzie-

dzinie praca tak sumienna i gruntowna, jak książeczka p. Mayzłówny. Zł. 5.40.

Karol Zagajewski. WSKAZÓWKI METODYCZNE DO NAUKI O HANDLU. Podręcznik dla seminarjów i szkół handlowych. Zł. 1.20.

Fr. de Callières. SZTUKA DYPLMACJI. Ten podręcznik dyplomacji, pochodzący z XVII wieku, pełen jest dziś jeszcze wdzięku i świeżości. Autor bawił przez długie lata w Polsce, między innymi z polecenia rządu francuskiego popierając wybór na króla polskiego Jana Sobieskiego. Zł. 7.

Dr. Julian Makowski. KWESTJA LITEW-SKA. Studjum prawne. Ażeby dobrze zrozumieć sens i znaczenie zagadnienia litewskiego, trzeba przedewszystkiem dobrze poznać jego stronę prawną. Studjum p. Makowskiego doskonale wprowadza w krąg tych zagadnień. Zł. 1.80.

Sprawozdanie Ch. S. Dewey'a za kwartał III 1928 r. Zł. 2.

Sądy pracy. Objaśnienia opracował adw. JÓZEF BLOCH. Zł. 3.50.

Urlopy wypoczynkowe pracowników najemnych. Objaśnienia opracował STANISŁAW ROSZKOWSKI. Zł. 3.

Prawo o miarach. Objaśnienia opracował W. REYNDEL. Zł. 7.

Stanisław Miklaszewski. SAMORZĄDY TERYTORJALNE A ROLNICTWO. W kraju rolniczym, takim, jak Polska, wszystkie sprawy pośrednio lub bezpośrednio związane z rolnictwem, mają doniosłe, wręcz pierwszorzędne znaczenie. Zł. 1.

Henryk Czapliski. SKARBY LASÓW POLSKICH. Lasy są jedną z podstaw życia gospodarczego Polski, trzeba więc wiedzieć dokładnie, jakie skarby i bogactwa w nich się kryją. Zł. 4.

Franciszek E. Lubecki. RYBOŁÓWSTWO ŚLEDZIOWE W ZACHODNIEJ EUROPIE. Nie wolno nie doceniać u nas znaczenia rybołówstwa, z którego niemal wyłącznie żyje nasza ludność nadmorska. P. Lubecki zebrał w swojej książce wyniki studjów specjalnych w Europie zachodniej. Zł. 8.

Dr. Stanisław Breyer. WIELKI LEKARZ DOMOWY. Książka niezbędna dla tych wszystkich, którzy, zbyt odlegli od ośrodków miejskich, muszą liczyć w razie choroby przede-wszystkiem na własne siły.

Karol Gide. ZASADY EKONOMJI POLITYCZNEJ. „Zasady ekonomji politycznej“ Gide'a ukazują się w VII-em już wydaniu polskim. Obserwne to dzieło zawiera następujące księgi. Wiadomości ogólne. Produkcja. Ustrój produkcji. Obrót. Rozdział dochodów. Kategorje uczestników w rozdziale dochodu. Konsumcja. Zł. 25.

Kazimierz Lepszy. OBŁĘŻENIE KRAKOWA PRZEZ ARCYKSIĘCIA MAKSYMILJANA. Studjum p. Lepszego przynosi niejeden niezmiernie interesujący szczegół do historii mało zbadanego obłężenia Krakowa w roku 1587-ym. Zł. 6.

F. Śliwiński. USTAWODAWSTWO SZKOLNE I ORGANIZACJA POLSKICH WŁADZ SZKOLNYCH ORAZ SZKOLNICTWA WSZYSTKICH STOPNI. Książka, która znaleźć się powinna w rękę nietylko każdego nauczyciela w czynnej służbie państwowej, ale każdego, kto się interesuje organizacją naszego szkolnictwa. Zł. 5.

Karol Marks. KAPITAŁ. Krytyka ekonomji politycznej, słynne dzieło Karola Marksa, będące podstawą socjalizmu, poznać powinni nietylko wyznawcy tego prądu politycznego, ale i jego przeciwnicy. Zł. 12.

Dr. Alfons Krysiński. LICZBA I ROZMIESZCZENIE UKRAJNCÓW W POLSCE. Żyjemy w epoce bardzo wyraźnego wzrostu zainteresowaniami sprawami mniejszościowymi nietylko u nas, ale i na terenie międzynarodowym. Wszystkie publikacje, mogące przyczynić się do wyświełlenia tego problemu, są więc wskazane i pożyteczne. Zł. 2.50.

Ks. Kazimierz Naskręcki. KRÓTKIE NAUKI O PRAWDACH WIARY KATOLICKIEJ. Tom I. CREDO. Nauki w tomie tym zawarte są krótkie, jasne, dostępne dla wszystkich, odznaczają się przytem pewną nauką Kościoła Katolickiego. Oddać one mogą poważne usługi tym zwłaszcza kapłanom, którzy obarczeni są pracą. Zł. 5.

Józef Tuliszkowski. CZYNNOŚCI I SŁUŻBA PODCZAS POWODZI. Temat u nas, niestety, zawsze na wiosnę aktualny, którym interesować się musimy. Zł. 3.

O S T A T N I L O T

Szarecki żegnał się z powietrzem na długo. Może na zawsze.

Miał już formalne zwolnienie do rezerwy i dokumenty w kieszeni. Zamierzał odjechać wieczornym kurjerem tego samego dnia. Przedtem jednak chciał jeszcze raz polatać. I dopiero, siadając do maszyny, uprzytomnił sobie, że jednak jest nalogowcem i że trudno mu będzie żyć bez latania.

— Odzwyczaję się — pomyślał, ale poczuł nagły przypływ wzruszenia.

— Sentymenty — mruknął przez zęby.

Nie mógł przecież odrzucić takiej propozycji. Ostatecznie, to był jego fach, a warunki zaofiarowanej mu posady przechodziły wszelkie jego marzenia. Marnował się w wojsku ze swojemi wiadomościami i zdolnościami. Trzeba było z tem skończyć. Dlatego też zdecydował się odrazu i wcale nie myślał zmieniać decyzji.

— Może kiedyś, kiedy już będzie bogaty... Wzruszył niecierpliwie ramionami: poco się okłamywać?

Nie wróci do lotnictwa i koniec. Z pewnością sfilistrzeje, zrobiwszy karierę, i będzie już wtedy szanownym, statecznym obywatelem. Ba, może się ożeni nawet?

Zapiął pasy i obciągnął je ciasno na ramionach. Ruchy miał zautomatyzowane, pewne. Tyle razy to robił, mój Boże! Ręce same wiedziały, w których miejscach i jak silnie pociągnąć klamry. Tu, w gondoli myśliwskiego samolotu, czuł się na właściwym miejscu; *był u siebie*.

Zdecydowanym chwytem ujął manetkę od gazu. Spojrzał na lewo, na prawo: mechanicy podparli ramionami skrzydła. Zwolna odciągał suwak, patrząc na licznik obrotów. Silnik terkotał, warczał, dźwięczał i ryczał, aż zawył pełną mocą.

— 1700 — skonstatował pilot.

Zamknął gaz i skinął głową: — W porządku.

Dwaj mechanicy pochyliłi się jak dwa automaty, sięgając do kół po podstawki. Wyrwali je zgodnym ruchem i odrzucili za siebie. Wermistrz podniósł rękę:

— Gotowe!

— Ostatni start — pomyślał Szarecki. — Musi być piękny.

Objął wzrokiem lotnisko. Daleko przed nim, pomiędzy jasną zielenią pola a wyblakłym błękitem nieba, stała ciemna, nieruchoma ściana lasu z kredową strzałą brzozy pośrodku.

Ruszył. Pchnął ster i, uchwyciwszy na środek maski silnika biały pień, popędził prosto przed siebie.

Maszyna wydzierala mu się w górę. Nie puszczał. Pneumatyki podwozia leciutko trącały drobne wyniosłości gruntu. Silnik ryczał jak potępieniec: gwałcono go; kondensowano jego moc do niemożliwych granic. Buntował się i parł w górę, ale obojętne, uległe dłoni pilota stery zgniatały go ku ziemi.

Ciemny pułap lasu, podparty czerwonymi kolumnami pni, zbliżał się szybko. Odstepy między drzewami rosły w oczach. Coraz wyraźniejsze były szare pęknięcia kory na brzozej bieli, między wylotami rur silnika. Pęd kwiczał, spazmował w uszach, rozdymał pozdrza i prul się na cierpki gwizd o spojenia linek.



Janusz Meissner, por.-pilot.

— 350 kilometrów na godzinę — stwierdził z uśmiechem pilot. I zaraz spoważniał: nie było żartów przy *takim* starcie.

Czerwone pnice sosen i białe — brzozy — zdawały się już wpadać na maszynę: zderzą się z nią i rozłupią na drzazgi.

Wtedy Szarecki, wciągając pełne płuca powietrza, jednym mocnym pociągnięciem wziął ster na siebie.

Platowiec przeszedł odrazu do pionu i zarzył się „brzuchem“ w elastyczną masę żywiołu. Fala wichru poszła przez wierzchołki lasu i rozczesała długie warkocze brzozy. Maszyna, jak wystrzelona rakietą, przysła w górę, przerzuciła się na plecy i poszła w ostry skręt przez prawe skrzydło.

Jęknęły linki i stery, by ścichnąć natychmiast w linii lotu. Ziemia, wykręciwszy wariackiego młynca z za pleców pilota nad jego głową i, umknąwszy w mgnieniu oka gdzieś w bok, znalazła się znów na właściwym miejscu pod nim.

Immelmann z pełnym gazem, brawurowo niski, trzydziestometrowy *Immelmann*, wyszedł wspaniale.

— Umieć jeszcze cośniecoś — pochwalili się w myśli Szarecki.

Położył maszynę w głęboki wiraż i podciągał ją coraz wyżej. Szła nieomal pionowo w górę. Silnik aż chareczał z wysiłku.

Pilot wiedział, czego można od niego żądać: trzymał samolot na ostatniej granicy pochyłości; o pół milimetra większe wychylenie steru zredukowałoby szybkość poniżej konieczności; maszyna poszłaby w ślizg na skrzydło. Czuł to całym ciałem, jak tylko czuć może urodzony pilot, wytrawny stary wyga powietrza. I kierując się tem nieomylnym uczuciem, brał dziesiątkami metrów wysokość.

Wreszcie wyrównał. Ziemia zszarzała pod nim, krajobraz zatracił swoje odrębności i upodobił się do wielkiej, płowo-brunatnej plastycznej mapy.

Tem wyraźniej zaznaczyły się widoki nieba: chmury nabrały właściwych, tak dobrze znanych kształtów, wycieniowały się ostrzej ich wklęsłości i klebiaste wydęcia; promienie słońca roztopionem złotem zalaly błękit w zenicie, przetykając blaskiem daleki, ciemniejszy nieco horyzont; leciutka, niewidzialna z dołu mgielka delikatną zasłoną powlekła przestrzeń pod maszyną.

Szarecki spojrzal na miasto, rozczapierzające długie macki dróg i linii kolejowych. Rzucalo się w oczy bialością domów i czerwienią dachów, przewleczone, jak wąską wstążeczką — zielonym zakrętem rzeki. Pociwiwe, spokojne miasto, w którym przepił niejedną noc i kochał niejedną dziewczynę... Dymilo teraz wszystkimi kominami swych licznych fabryk i tartaków. Żegnało go — być może — jak on je żegnał w tej chwili.

Przeleciał na główną ulicą, głęboko wyżłobioną w głębokich zboczach wielopiętrowych kamienic; zawrócił nad czarnym, srebrnemi niemi szyn błyskającym dworcem i spojrzał na lotnisko.

Leżało w cieniu wielkiego, białego, jak krem do ciastek, obłoku. Proste bloki hangarów z jednej, las z drugiej, zielone, kraciaste pola z trzeciej strony. Pośrodku — białe koło z nazwą portu.

— Ostatni raz, ostatni — myślał pilot. I wzruszenie ścisnęło mu gardło.

Otrząsnął je, jak coś nieszkodliwego i niepotrzebnego zarazem. Było natrętne. Nie lubił tego ucisku w gardle, no!

Aby się go pozbyć, nagle poderwał maszynę do *retournement*, spłynął w bok, wymknął się ze zwoju korkociągu, chwytającego lapczywie sposobność, przerzucił się w *pól beczi* i wypadł z *renversement* w samą twarz słońcu.

Potem wiązać zaczął ciasne łuki *loopingów* w regularne, różmiane do słońca pętle. Ba wilo go to. Wyobrażał sobie, że zmusza słoneczną kulę do nieustannych młynców w pogoni za nieuchwytną ziemią. Miał je kolejno pod sobą: raz popielatą, zamgloną ziemię, a raz rozeczochrane, złote słońce.

Potem splatal im figla: prosto z *loopingu* cisnął platowiec w potężny supel *beczki*. Ale, naturalnie, nie daly się oszukać: słońce uciekło mu z nad głowy w bok, a tuż za niem pognała ziemia.

Wtem dłoń pilota natrafiła na leciutki opór w ruchu sterowego drążka. Trwało to ułamek sekundy. Zaledwie dało się odczuć.

Ale wspaniale, wyczulone długim treningiem nerwy natychmiast przesłały ostrzegawczy sygnał do mózgu: — *U w a g a!*

I w tej samej chwili mózg zareagował: maszyna wyszła do linii lotu.

Dopiero potem napłynęła myśl: — niebezpieczeństwo?

Szarecki sprawdził działanie sterów. Pracowały należycie. Maszyna kładła się na burtę za każdym drgnięciem lotek; pochylała się lub wznosiła przy najdrobniejszej zmianie kąta; zarzucała ogonem jednocześnie z ruchami orczyka.

Mimo to pilot trzymał ją nadal w poziomym locie na zredukowanych obrotach. Myśl płynęła nowem nieznanem dotąd lożykiem.

— Przecież, prędzej czy później, nadejść musi takie niebezpieczeństwo, z którego się już nie wychodzi. Przecież każdy z nas — nie; każdy z nich — pomyślał o kolegach — kończy śmiertelną katastrofą. Więc lepiej uciec przed tem ostatniem niebezpieczeństwem, póki jeszcze pora. Los musi wkońcu wygrać — jak bank w Monte Carlo. Napiszą w nekrologu: *zginął śmiercią lotnika*. I po halasie. Trumna pojedzie do piachu na starym kadłubie samolotu, ciągnionym przez kilka par ko-

ni. Trochę wieńców, kwiaty, orkiestra i salwa honorowa. Podczas gdy ja...

Uśmiechnął się drwiąco. Był rozsądnym, spokojnym graczem, opuszczającym ruletkę losu po większej wygranej.

— Mało jest takich — powiedział sobie.

A jednak na dnie duszy pozostał jakiś niewytłumaczony osad żalu. Nie, to nie był właściwie żal, a raczej może pewien odcień zazdrości.

Szarecki próbował zanalizować dziwne uczucie i znaleźć jego przyczynę, ale nie rozumiał sam siebie. Nie wiedział, czym jego pogodny nastrój został nagle przyćmiony.

Usiłował myśleć o przyszłości, która malowała się w różowych barwach powodzenia. Ale myśl uparcie wracała do poprzedniego tematu.

Takie, czy inne życie, musi się przecież skończyć. Przyjdzie śmierć spokojna i stateczna, lecz równie okrutna, śmierć wskutek choroby, albo starości. Nie piękna i szybka jak błyskawiczna śmierć lotnika, gdy maszyna w oszalałym pedzie zderzy się z obojętną, twardą ziemią. Ale śmierć „po długich i ciężkich cierpieniach“ w łóżku, śmierć „obywatelska“.

— Tak właśnie napiszą w gazetach: *po długich i ciężkich cierpieniach zmarł dnia...*

I nagle Szarecki zrozumiał: uczuciem, które go tak drażniło, była istotnie zazdrość. Że nie zginie, jak inni piloci, że nie będzie miał salwy honorowej nad trumną i że to nie będzie śmierć lotnika ten kres jego życia. Zrozumiał i porwała go nagła pasja na siebie samego.

— Idjotyzm. Sentymentalizm, psiakrew!

Maszyna, zadarta niecierpliwą dlonią w górę, rzuciła się jak szczupak. Pilot przytrzymał ją tak, póki nie straciła szybkości. Wtedy zamknął gaz.

Wierzgnęła w bok, zwinęła się narowicie i znowu z wysiłkiem zaczęła podnosić łeb

w górę. Wahała się: w prawo, czy w lewo? Powstrzymywał każdą próbę umknienia i poślizgu. Zapomniał w tej chwili o wszystkich sentymentach. Przejął się grą: nie puścić płatowca w korkociąg przy padaniu liściem.

Powiew bocznego wiatru pchnął go w lewą gładką. Ale przy ponownym zawałeniu się przodem kadłuba w próżnię maszyna została pochyłona w przeciwną stronę. Ściągnął ją mocniej jeszcze. Krótkimi trawersami płasko opadała na dół, aż poślizgnęła się w tył, na ogon. Przeszedł po niej dreszcz. Po chwili stery znalazły oparcie w gęstniejącym od pędu powietrzu i wychyliły ją do normalnego położenia. Pęd natychmiast ustał, rozwiął się, skonał.

I znów szła to lewym, to prawym ślizgiem w dół, jak liść, jesienią opadający z klonu.

— Dość — zdecydował w pewnej chwili Szarecki, spojrzawszy na altimetr. Do ziemi pozostało 1200 metrów. Postanowił przebyć je w ostrej gładzie.

Położył ster na prawą burtę i wolno przesunął orezyk w przeciwną stronę. Linki zaczęły gwizdać. Płatowiec szedł w bok, leżąc na prawym skrzydle. Pilot podciągał go i popuszczał, regulując szybkość w kierunku poziomym.

Aż w pewnej chwili, właśnie kiedy miał drażek sterowy na sobie i chciał go przesunąć nieco bardziej w przód, poczuł znów opór. Ale tym razem opór nie dał się przezwyciężyć: ster został unieruchomiony.

Szarecki napróżno się z nim mocował. Linki musiały spaść z rolek prowadzących i utknąć między ich okuciami. Płatowiec chwiał się na granicy utraty szybkości. Potem przewalił się bezwładnie przez skrzydło pod siebie, zarzucił ogonem i poszedł w dół. Porwał go chciwie, rozszalały nagle, spazmujący ostremi nawrotami, lej korkociągu.

Wtedy przez mózg pilota poczęły lecieć myśli. Krótkie, jak cięcia nożem, porwane

w strzępki, zaćmione szybkością. Myśli o ratunku: najpierw dla maszyny, później dla siebie. W twarz uderzył nagły, gorący dech emocji.

Raz jeszcze szarpnął knypel. Ani drgnął. Tkwił sztywno, jak szlacheta w płocie.

Pilot spojrzął na altimetr.

— 600. — Po chwili 500 i — 400.

— Dość — pomyślał. — Skakać!

Odpał pasy. Ziemia gnała na jego spotkanie, kręcąc się w nierównych eliptycznych zwojach. Z za skrzydeł, pionowo nad nią leżących, wypadal kolejno skraj lasu, to znów bok hangaru, tworząc wraz z piaszczystą wydumą na lotnisku rozmazany, smużący się wir.

Wszystko to rosło w oczach z przerażającą szybkością. Linki i stójki płatowca wyły i spazmowały. Wicher targal nieruchomymi sterami i huczał w uszach.

— 200 metrów — stwierdził Szarecki, odsadzając się do skoku.

Wtem zamarł i znieruchomiał. Czolo oblało mu zimny pot strachu: coś trzymało go mocno przy gondoli...

Pomacał rękami. To był pas, spleciony z szelkami spadochronu.

Gorączkowo zaczął szarpać klamrę. Ale już było za późno. Spostrzegł to i chwyciła go rozpacza.

— Nie chcę, nie chcę! Oooo! Nie, nie — chcę! — zaryczał ostatnim wysiłkiem płuc. Serce zdawało się rozsadzać mu piersi.

Wtedy płatowiec grzmotnął o ziemię, aż steknęła. Polciały drzazgi. Cały ich stos zwałił się na zagrzebany w piasku silnik, po którym spływała lepka krew.

Nazajutrz w pismach był nekrolog:

...Zbigniew Szarecki, porucznik rezerwy, zginął śmiercią lotnika...

Warszawa, styczeń 1929.

O ROKU ÓW!

Maman: Panie hrabio Neupperg of Balahaza! Jutro w Krakowie pogrzeb dziesięciu poległych w ostatniej rewolucji! Pan wie o tem?

Neupperg (skontundowany): Ależ łaskawa pani pułkownikowo!

Maman: Milczcie! Silence s'il vous plaît. Je ferme mon viridage i szluss... No i wam nie wstydyby było Szwaby Tafelmusik tutaj urządzać, gdy tam... kilkaset Polaków na banicję odjeżdża, a w lazaretach ranni Polacy leżą? Schämen Sie sich, Herr Graf. Ist doch scheusslich teremtete. A pan przecie Węgier. Pan wie, że w Budapeszcie rewolucja?

Neupperg (salutując): Jestem adjutantem Jego Ekscelencji feldmarszałka von Castiglone.

Maman (kpiąco): I nic więcej?

Neupperg stoi na baczność i milczy.

Maman: No, to i ja nic więcej nie mam z panem do konwersowania! Adieu!

Neupperg: Czy mogę tu poczekać na Jego Ekscelencję?

Maman: C'est pour moi ganz égal (stawia pasjansa). Adieu!

Niepowstrzymanym strumieniem poprzez zdradne zapory wielojęzyczności, poprzez przepiękną polszczyznę, po-

przez niemiecki, francuski, czeski, poprzez pstrokatą a barwną mieszaninę tych języków toczy się akcja nowego dramatu

Adolfa Nowaczyńskiego: WIOSNA LUDÓW (zł. 10)

Na cichy, senny Kraków spada w roku 1848-ym wiosna ludów. Spada na zamarte dusze wszelakich prezesów, senatorów i Gaudentych, na gorące umysły „ojczyźniaków“, na miłujące, szczerze i proste serca kobiet. — Ale Nowaczyński zbyt serjo, ani zbyt tragicznie owej „wiosny“ nie bierze. Nie interesowały go wielkie problemy społeczne i polityczne tego burzliwego roku. Z drwiącym, jak zwykle, uśmiechem przygląda się Nowaczyński w swojej „Wiosnie ludów“ przedewszystkiem ludziom, ich sposobom reagowania na wzruszenia i podniety tej chwili dziejowej. Najbaczniej przyjrzał się bodaj jednak Nowaczyński przedewszystkiem sercom i duszom swoich bohaterów i dostrzegł w nich perły najczystszych i najwierniejszych uczuć. Bo oto na najsilniejszy ton patriotyczny zdobywa się *maman* Liedermeyer, bez mrugnienia okiem godząca się na wyjazd obu córek, które ukochanym swoim towarzyszą w przymusowej tułaczce na obczyźnie, prawiąca ostre verba magistri najwyższemu przedstawicielowi władzy.

REHABILITACJA KOBIETY DZISIEJSZEJ

Prawdziwą zaiste rehabilitacją kobiety polskiej jest nowa powieść

Wandy Miłaszewskiej STARE KĄTY (zł. 9.—).

Pani Gołębiowska przed wielu, wielu laty, kiedy Ania była jeszcze maleńkiem dzieckiem, rzuciła ojczyznę, dom, męża i dziecko, aby losy swoje związać z dolą i niedolą wielkiego śpiewaka włoskiego...

Ania nie zna matki. Trzeba było na to zawieruchy wielkiej wojny, aby dwie te kobiety zetknęły się ze sobą na dalekim obcym dla siebie bruku Paryża.

I oto tam, w Paryżu, potem we Włoszech dusza Ani dojrzeła. Obserwacja życia matki, wyrwanej z gruntu ojczyzny, dokonywa reszty. Ania wraca do kraju już jako dojrzała, świadoma swoich celów i obowiązków kobieta.

Świadomość ta nie opuści jej już nigdy. Ani wtedy, kiedy po ślubie pozna całą nicość wybranego przez siebie człowieka, ani wtedy, w tej najcięższej chwili jej życia, kiedy na jej drodze stanie ktoś, kogo kochała już w młodości, a kogo teraz umiłowała nad życie. Ale Ania nie pójdzie za głosem miłości. Zostaje przy mężu, przy dziecku, pozostaje tam, gdzie jej zostać każe nie głos miłości, ale głos sumienia i obowiązku.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

WP. Helena Heilig, Grudziądz. Dziękujemy bardzo za interesujący Pani artykuł. Narazie nie możemy umieścić go w „Książkach”, gdyż następne numery są już rozplanowane, w każdym jednak razie prosimy o pozwolenie zatrzymania go w teczce redakcyjnej do ewentualnego w tej czy innej formie zużytkowania.

WP. A. Olkusi, Cieszyn. Dziękujemy za życzliwość. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby Pan zechciał wyjaśnić nam dokładniej swój projekt. Czy chodzi Panu o utwory współczesne? W naszych recenzjach staramy się wskazywać na zawartość ideową danego utworu... Bardzo prosimy o jeszcze jeden list w tej sprawie.

WP. Włodzimierz Ogończyk-Godziszewski, Rabka. Wysyłamy odpowiedź pocztą.

WP. Marja Zaleska, Warszawa. Zarzuty Pani nie wydają nam się słuszne. Czyżby było aż tak źle? W każdym razie rzecz do zastanowienia się i omówienia.

WP. Jan M., Piotrków. Dziękujemy za tak miły i obszerny list. Jesteśmy szczerze wdzięczni za wszelkie, byle życzliwe rady. Dziękujemy również za podane nam adresy.

WP. Marja Kudelska, Łódź. Numery okazowe wysyłamy.

WP. Jan Malanowski, Poznań. Dziękujemy za łaskawy udział w naszym plebiscycie. Nie chcieliśmy, oczywiście, powiedzieć, że żadne z arcydzieł naszej literatury nie nadaje się do sfilmowania. Chodziło nam raczej o podkreślenie, że wartości kinowe niezawsze idą w parze z wartościami czysto literackimi. O ile taki wypadek zachodzi, tem lepiej.

WP. Jadwiga Kuskowska, Warszawa. Może kiedyś zorganizujemy i taki konkurs.

WP. Władysław Rusiński, Pakość. Niestety, adresu autora noweli „Gość w dom, Bóg w dom” udzielić nie możemy, musimy bowiem zachować przyrzeczoną mu dyskrecję co do jego osoby i nazwiska. Oczekujemy z niecierpliwością zapowiedzianego listu.

WP. J. Kiel, Wilno. Adres p. Makuszyńskiego jest: Aleja Róż 14. Nie tracimy nadziei, iż spełni się kiedyś życzenie Pana, — a oczywiście i nasze — i „Książki” wychodzić będą co najmniej co 2 tygodnie.

WP. K. Ostachiewiczówna, Wilno. Mamy nadzieję, iż nasza administracja usunęła już braki wysyłki, na które Pani narzeka. Ceny podajemy przy wszystkich książkach.

MIESIĘCZNIK „KSIĄŻKI”

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Prenumerata roczna zł. 4.—. Numer 40 gr.

Redaktor: STANISŁAW ARCT. Wydawca: M. ARCT, Zakł. Wyd. Sp. Akc.

Redakcja i Administr. w Księgarni M. Arcta, Warszawa, Nowy-Świat 35.

K w a r t a ł II - g i s i ę z b l i ż a ! Czas odnowić prenumeratę!

MICHAŁA ARCTA

SŁOWNIK ILUSTROWANY JĘZYKA POLSKIEGO

nowe, poprawione wydanie, 21-y tyśiąc, wydzie w całości w ciągu r. 1929, po 2 zeszyty miesięcznie.

Cena pojedynczego zeszytu zł. 3.—, całość więc przy kupnie zeszytami wypadnie zł. 72.—.

Prenumerata kwartalna zł. 15.—, całość więc w prenumeracie będzie kosztować zł. 60.—.

Całość, 24 zeszyty, dla zamawiających przed 1 kwietnia 1929 w przedpłacie zgóry, tylko zł. 45.

Za przesyłkę będziemy liczyć 30 gr. od zeszytu, 1.50 przy prenumeracie kwartalnej, a zł. 5 przy przedpłacie za całość.

Każdy nabywca całego Słownika, czy to zeszytami, czy też w przedpłacie lub prenumeracie otrzyma bezpłatnie, po ukończeniu wydawnictwa, ozdobną płócienną okładkę ze złotym wyciskiem.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

30 powieści w 80 tomach.

W prenumeracie kwartalnie za 10 tomów: wyd. broszurowane zł. 10.— wraz z przesyłką, wyd. oprawne zł. 16 w Warszawie; wyd. oprawne zł. 18 poza Warszawą.

Żądajcie szczegółowych prospektów!

Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

MOJE PISEMKO

Tygodnik obrazkowy dla dzieci, pod redakcją Marji Buyno-Arctowej.

Moje Pisemko dostarcza miłej rozrywki, kształci umysł i serce.

Kwartalnie zł. 3.—, z dostawą 3.50.

ZUCHWAŁY LOT

podług oryginału francuskiego A. Galopina i H. de la Vaulx.

to powieść, jakiej żądają czytelnicy, zajmująca i porywająca do utraty tchu.

Cena zeszytu w przedpłacie zgóry tylko 30 gr., t. j. zł. 12 za całość 40 zeszytów.

W prenumeracie 5 zł. kwartalnie za 13 zeszytów, czyli 38 gr. za zeszyt.

Cena zeszytu w sprzedaży pojedynczej 50 groszy.